POD BLACHĄ.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII WIEKU

przez

J. I. Kraszewskiego.

Bo nié cała Warszawa jest blachą pokryta!
Osiński.

TOM I.

WARSZAWA.
Nakład Gebethnera i Wolffa.
1881.

POD BLACHĄ.

POD BLACHĄ.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII WIEKU

przez

J. I. Kraszewskiego.

Bo nie cała Warszawa jest blachą pokryta.

Osiński.

TOM I.

WARSZAWA.
Nakład Gebethnera i Wolffa.
1881.

Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Sp.

KOCHANEMU BRATU

LUCJANOWI KRASZEWSKIEMU

na pamiątkę

przesyła

Drezno 1 Marca 1879. **AUTOR.**

I.

— A słowo się stało ciałem! Co ja widzę? Pokutyński?

— Pan Stanisław! *Sacré-nom!* On sam! A ty co tu robisz?

Dwa te wykrzykniki, jeden po drugim słyszeć się dały pewnego dnia zimowego roku 179... na gościńcu przed austeryą w Jabłonnéj.

Dzień był chłodny, powietrze ostre, ziemia śniegiem pokryta, mnóstwo go jeszcze świeżo spadłego wisiało na drzew gałęziach, a wiatr nie miał czasu otrząsnąć. Niebo chmurne, płowe, odbijające się ciemno od całunu rozpostartego na ziemi, zdawało się jeszcze zapowiadać śnieżnicę.

U wrót austeryi stały, tylko co zapewne przybyłe i wstrzymane dla wytchnienia cztery koniki z sankami; zmęczone, robiące bokami, z których

para buchała jak z kotła. Dobry kawał drogi musiały zrobić bez spoczynku.

Z sanek wysiadł był przed chwilą ten, którego pan szambelan Pokutyński nazwał Stanisławem. Był to mężczyzna nie młody, dosyć otyły, z brzuszkiem foremnie zaokrąglonym, w ciepłéj czapce z uszami, w dostatniém futrze pasem czerwonym podciągniętém, w butach ciepłych do kolan, z twarzą rumianą i pucułowatą. Wyciągał się właśnie ze zdrętwienia od zasiedzenia w sankach, gdy mu się na oczy nawinął pan szambelan Pokutyński.

Poczciwa to była fizys obywatelska z dawnych czasów, księżycowata, dobrze wykarmiona, na któréj wszystko co się zrodziło i powstało w duszy, malowało się natychmiast jak w zwierciedle. Obmarzły wąs napróżno się jéj starał dodać marsowego wyrazu. Facyata była dobroduszna, bez dobitnego charakteru własnego, oznaczająca na pierwszy rzut oka człowieka miękkiego, któryby rad czuba sobie nastawić i wydawać się groźnym, aby go nie sponiewierano.

Z rumianych szerokich ust widać było, że nie próżnowały w żadnéj posłudze z tych, do których zostały stworzone.

Czoło za to gładkie, spokojne, zasklepiało czaszkę okrągłą, niemającą żadnych wypukłości złowrogich, widocznie myśleniem zbytecznem i troskami niebardzo znużoną.

O jéj gładką powierzchnią fale idei, krążących po świecie, jak o skałę rozbijać się musiały.

Spojrzawszy na pana Stanisława Kostkę z Burzymowa Burzymowskiego, który, zarówno z panem Pokutyńskim, był króla Stanisława Augusta szambelanem, miałeś odrazu konterfekt gotowy człowieka — „jak mnie widzisz tak mnie pisz.“ Nie potrzebowałeś sobie nad nim łamać głowy, jak nad wielą innemi, co są zagadką dla bliźnich, a może dla samych siebie.

Burzymowski choćby był pragnął się zataić, twarzą i mową spowiadał się przed wszystkiemi, a beczki soli dla poznania go wcale było nie potrzeba. Jakim dziś, takim go miałeś zawsze.

Wcale inaczéj wyglądał JMPan szambelan Pokutyński, ubrany z miejska, w bardzo ładném futerku, pokrytém ciemnozielonym aksamitem, z szyją starannie szalem tureckim okręconą, w peruczce staroświeckiéj nieco formą, ale świeżéj i eleganckiéj, na któréj z pewną kokieteryą włożony siędział rodzaj — kapelusika.

Wyglądająca z pod szala i peruki, wygolona starannie, trochę już wiekiem popsuta i nadwerężona, ale troskliwie utrzymywana twarzyczka, błyszczała złośliwością, wesołością, sprytem i dowcipem. Oczki nieco przymrużone śmiały mu się niepoczciwie, a usta krzywiły sarkastycznym wyrazem, do którego były nawykłe, tak że im już poważnie się ściągnąć stawało niepodobieństwem.

Choć wcale nie młody trzymał się wykrygowany, prosto, z pewną salonową elegancyą, w ręku potrząsając chusteczką, którą nos zakatarzony i od zimna zaczerwieniony, nieustannie musiał ocierać; pilnując razem rękawiczki, raczéj do stroju służącéj niż mogącéj od zimna ochronić.

Nogi téż miał opatrzone w zgrabne berlaczyki futerkiem obłożone, na których dbałość o formę i elegancyę znać było.

Przekwitła dawno młodość, w dziwnéj była sprzeczności z tą kawalerską, innym latom właściwą wytwornością stroju i żywością ruchów, trochę wymuszoną, pana szambelana.

Po wykrzykniku, dwaj panowie szambelanowie zbliżyli się ku sobie pospiesznie przez śnieg brnąc i zaczęli się ściskać serdecznie.

Burzymowski spełniał ten obowiązek ze staropolską sumiennością, która, choćby poślinić ale uczciwie w oba policzki plusnąć nakazywała; Pokutyński ściskał się z pewną oględnością, chroniąc się od mokrego zetknięcia z obmarzłemi wąsami.

— Ale, proszęż cię, *nom d'un nom*, — zawołał odsuwając się nieco szambelan Pokutyński, — zkądże się tu wziąłeś? Wszak mieszkacie, *ni fallor*, za austryackim kordonem?

— Ha! tak jest! w austryackim kordonie! A cóż ty zimową porą robisz w Jabłonnéj? — odparł z równym pośpiechem Burzymowski. — Wszak

przecie książe Józef zimą w Warszawie rezyduje, pod Blachą?!

— Tak jest! Cóżby on tu robił? — zaśmiał się Pokutyński. — Niema go tu. Powiem ci krótko a węzłowato: bieda mnie tu przypędziła. Z tą młodzieżą teraźniejszą gorąco kąpaną kto się wda, pokoju nie ma nigdy. Otóż i ja umęczony przez nią jestem.

Domyśleć się łatwo — pojedynek! Musiałem tedy *qua* świadek, jako przyjaciel i rozjemca, gdyż starałem się odegrać tę rolę, przywlec tu niepoczciwemi sankami, które się co chwila zataczały i boki mi otłukły, po to, ażeby po kilku złożeniach i kilku wykrzykach — być świadkiem pocałowania i zgody!

Cha! cha! cha!

Nikt nikogo ani drasnął, bo *ambo meliores*, rębacze doskonali!

— Ale któż, z kim? — zapytał ciekawie Burzymowski.

— Ty ich nie znasz pewnie. — Pierwszy ten zawadyja nieszczęsny, łomignat, burda, szaleniec Dąbski, co to już raz z przyjaciołmi swemi na patrol pruski wpadł obcesowo; drugi taki sam junak Kalinowski.

Trafił swój na swego i — godnie się wzajem oceniwszy, najczulszą zawarli przyjaźń! — dokończył szambelan, — byle tylko trwała!

W początku myślałem, z animozyi wnosząc,

że się na bigos posiekają i my tylko członki ich na śniegu zebrane odwieziemy do Warszawy.

Pan Stanisław Kostka z Burzymowa Burzymowski stał z usty otwartemi słuchając z zajęciem wielkiém.

— A po cóż się, do licha, ci ichmość aż do Jabłonnéj fatygowali, — odezwał się, — przecież ani króla, ani sejmu, ani juryzdykcyi marszałkowskiéj w téj opustoszałéj Warszawie nie ma? Mogli w pierwszym lepszym ogródku, na podwórku jakiém swéj krewkości uczynić zadość?

— Może to fantazya jak inne, a może i racya była! Co ty chcesz? Warszawy pruskiéj ty nie znasz! Hm?

Dąbski nie życzył sobie się rąbać w mieście, powiadając, że jak się rozmacha, gotów znowu wpaść na jakiego prusaka. Dla oryginalności téż zaprosił kuligiem do Jabłonnéj. A i to dodać muszę, że w szopie w Łazienkach, gdzie się zwykłe te harce odbywały dawniéj, książe Józef uprosił gubernatora Koehler'a, aby mu wartę postawił.

Mieli się tedy tu porąbać na kawałki; ruszyliśmy do Jabłonnéj, aby nam nikt nie przeszkadzał, a skończyło się na tém, że teraz burgunda piją razem i całują się, dopóki znowu za łby się nie pobiorą...

Co ty się dziwisz, — dodał Pokutyński ciszéj, — krew nie woda, a czasu pokoju gdy się rąbać nie ma z kim, bije się choć z przyjacie-

lem, aby ręki i animuszu nie stracić! Kto wie, co przyszłość nam gotuje!

Burzymowski obejrzał się niespokojnie dokoła.

— Gdzież oni z tym burgundem? — spytał przestraszony. — Czy nie w austeryi, broń Boże!

— A! nie! nie! W oficynie książęcéj. Wprosili się do kwatery Brodowskiego, którego starą gospodynię przekupili, że ich tam wpuściła.

Podróżny nasz, widocznie uspokojony swobodniéj odetchnął.

— A tobie na co austerya? — spytał poglądając na niego Pokutyński.

— Ja bo widzisz, jadę dworno, córkę z sobą wiozę, — rzekł Burzymowski. — Tylko co jéj nie widać... musiemy tu popasać. — Mówiąc to westchnął, machinalnie czapkę poprawił, jakby się chciał w głowę podrapać i twarz jego oblokła się wyrazem troski i zakłopotania.

— Córkę! a! a!.. córkę wieziesz na karnawał pod Blachę! — zaśmiał się szambelan. — Dalipan to paradnie!

— Jako żywo! jako żywo! — podchwycił podróżny. — Jeszcze nic nie wiem, ani co, ani gdzie, ani jak!

Tu nagle przerywając dodał:

— Ale, o tém potém.

I troskę z siebie otrząsnąwszy chwilowo, wyciągnął obie ręce ku Pokutyńskiemu.

— Hej! hej! kolego kochany! wieleż to lat, jakeśmy się z sobą nie spotykali?

— Ba! Jeżeli się nie mylę, — odparł namyślając się Pokutyński, — od Grodnaśmy się nie widzieli! Pamiętasz? Ostatni raz na balu u Sieversa?..

— Jak Boga kocham, szalona, szalona pamięć! A tak! Pamiętasz, oblałem cię winem! — śmiał się Burzymowski i otarł oczy, bo gdy się śmiał, zawsze prawie razem płakać był zmuszony.

— Twojego wina więcéj było szkoda niż mojego fraka, — odparł Pokutyński, — wino było stare, wytrawne i doskonałe jak rzadko. Z takiém winem jak za onych dobrych naszych czasów, dziś już się nie spotykamy. Burgund wszedł w modę, a *in quo nati sumus*, poczciwy węgrzyn zaniedbany. Mówią że dawał pedogrę! ba! za taki kordyał warto cierpieć było.

— U nas za kordonem — odezwał się prędko Burzymowski z wielką seryą — węgrzyn wcale nie zaniedbany, my szanujemy tradycye narodowe, a przytém Węgry o granicę!

Wybuchnął śmiechem Pokutyński, zaczęli się śmiać oba, znowu łza się natrętna zakręciła w oczach Burzymowskiemu, który ją spiesznie ocierał tłustym kułakiem.

— Ale, cóżeś ty tu na gościńcu robił? — zapytał Pokutyńskiego.

— Wymknąłem się od pijatyki i szedłem do

moich sanek, — odparł szambelan. — Dąbski z Kalinowskim, ich świadkowie Kwiński, Koszycki i Anizetka (Bieliński) jak poczęli solenizować zgodę, będą tu siedzieli do nocy, dopóki im tylko burgunda, a potém materyałów do ponczu stanie, ja zaś, rozstąp się ziemio, *coute que coute,* powracać muszę, aby wieczorem być u pani jenerałowéj Grabowskiéj.

— No! ależ ci przecie nie tak pilno, abyś dla mnie chwileczki nie poświęcił, — odezwał się błagającym głosem, biorąc za obie ręce Pokutyńskiego podróżny. — Zmiłuj się nad biednym wieśniakiem! Kto wie, czy ja cię złapię już w Warszawie, a okrutniebym od ciebie rad zasięgnąć języka... (Tu począł ciszéj.) Wybrałem się na oślep! któż lepiéj nad ciebie może mnie poinformować...

— Służę ci chętnie, — odezwał się Pokutyński. — Nawet konie mojego automedona, jak widzę, nie dojadły jeszcze sieczki, którą ich poczęstował. Chodźmy do izby — chłodno.

— Zybek! Zybek! — ogromnym (umyślnie dla sług przeznaczonym) głosem, i to jeszcze przez kułak dla spotęgowania go, zawołał Burzymowski. — Zybek! a! żeby cię! Gdzież się ta bestya zaszyła już. Tylko co był i już świsnął. Zybek!

Na wołanie to, coraz niecierpliwszym powtarzane głosem, z karczmy wybiegł młody chłopak w kożuszynie i opończy na niéj, pędem wprost lecąc przestraszony na pana.

— Co jaśnie pan każe? co?

— Izba? Izba ciepła, słysz! izba czy jest? Potrzeba ich dwie, gamoniu! Mówiłem ci, dla mnie jedna, druga dla panienki z Wojską!

— Jest! są! a jakże! — żywo, jąkając się odparł Zybek. — Właśnie smółką wykadzać kazałem, bo było trochę swędu.

— No, to chodźmy, kochany szambelanie, — zawołał Burzymowski, biorąc go pod rękę, — chodźmy! Mam z sobą prawdziwy gdański Goldwasser, powiadam ci jak oliwa, a na zakąskę piernik toruński. Jak moja Sylwia nadciągnie, to się tam i coś pożywniejszego znajdzie... Ale — kiedy ona nadciągnie!..

To mówiąc rękę do czoła przyłożył Burzymowski i długo przymrużonemi oczyma patrzał na pusty, zawiany gościniec, na którym, jak zajrzeć, żywéj duszy widać nie było. Śnieg tylko leżał pogarbiony, a w nim gdzieniegdzie tkwiły krzewy czarne obrąbiane śniegiem, nad któremi wrony się kracząc unosiły.

— Ale bo, powiadam ci, — ciągnął daléj, ku austeryi zwracając Burzymowski, — powiadam ci, z temi babami niewysłowione utrapienie! Nie można się było inaczéj wybrać jak landarą, węzełków, puzderek, skrzyneczek, pudeł, sepecików, zawiniątek, kuferków, tłumoków — bez liku. Śniegu około nas było niewiele, dopiero gdyśmy wyjechali, jak zaczął sypać, jak z rękawa! Trzeba

tedy było arkę Noego brać na gryndże, a teraz wlecze się to powoli, bo i ciężkie i wywrotne. Wystaw sobie, ja lżéj jadąc, zawsze prawie mam czas popaść nim one nadjadą. Skaranie Boże! Myślałem, że nigdy nie dociągniemy do Warszawy.

To mówiąc weszli do izby w austeryi, w któréj zapowiedziana przez chłopca smółka zmięszała się wprawdzie ze swędem i wonią cebuli zasadniczą, ale zapach jaki z trojga tego się wytworzył, nie był wcale przyjemny. Pokutyński, który już pewnie dawno wiejskiéj karczmy nie wąchał, zaraz na wstępie kichnął.

Tymczasem ów tak zwany Zybek, na dany znak pobiegł już był po puzderko, które w saniach u nóg pańskich stało. Szambelan wykichawszy się, rozwinął szal turecki, zdjął kapelusik, rozpiął zielone futerko i usiadł za stołem naprzeciw dawnego towarzysza.

— A wiesz, — odezwał się do szlachcica, który już z kluczem około puzderka się krzątał, — że ty, słowo ci daję, wyśmienicie, doskonale, zdrowo jak rydz wyglądasz. Co to jest wieś! Powietrze zdrowe, jadło proste, naturalne a pożywne i ten szczęśliwy, arkadyjski spokój, którego wy sielankowi ludzie używacie.

Burzymowski, który miał właśnie do ust nieść kieliszek goldwassera i poczynał już owo sakramentalne:

— W ręce twoje, w gardło moje!

Zatrzymał się nagle, popatrzał naprzód seryo, pokręcił głową, uśmiechnął się i zawołał:

— A bodaj cię! Spokój! na wsi! Spokój u człowieka, który ma córkę dorosłą, a do tego jak anioł piękną i jak żywe srebro żwawą!

— No, córki takiéj pozbędziesz się łatwo, — śmiejąc się i przyjmując kieliszek rzekł szambelan. — Panna piękna w matkę się wdać musiała, więc i w główce téż dobrze! hę?

(Nie rozważył Pokutyński, że niechcący powiedział impertynencyę. Szczęściem, poczciwy Burzymowski nie miał zwyczaju nic nigdy brać do siebie.)

— Fiu! fiu! — odparł żywo. — W główce! ale jak! ale jak! Rozum stary, spryt szalony! Toż bieda właśnie! Powiadam ci, lat... no, co tam lata liczyć... młoda, a swoją wolę musi mieć we wszystkiém, i — nie ustąpi.

Tu się postrzegł pan Stanisław, że może niepotrzebnie, nadto się o córce wygadał i natychmiast się poprawił.

— Ale, powiadam ci, jak anioł dobre dziecko. Jedynaczka, pieszczoszka, trochę fantazyjki musi mieć i niech ją ma!

— Niech ma! to dobrze! kobiecie to uroku dodaje, — pospiesznie dokończył Pokutyński. — Ja ci winszuję takiéj córki!

Zajadali właśnie toruńskim piernikiem, nad

który nie ma lepszego nic do odebrania apetytu, gdy Burzymowski klapnął po ramieniu starego przyjaciela.

— No, ale mówże ty mi, kochany, drogi szambelanie, co się u was dzieje? Wiesz że ja za kordonem mieszkam pod rakuskiém berłem, w Warszawie nie byłem od wieków! Chciałem Sylwię dla ekonomiki zawieźć do Lwowa, ale ani sposobu ją było do tego namówić. Lwów, to dziura! do Warszawy i do Warszawy!..

A tu — ta Warszawa — —

Westchnął ciężko Burzymowski i ciągnął daléj.

— Nie wiem czy ty to sobie przypominasz, że przez nieboszczkę matkę mojéj Sylwki, jesteśmy bodaj w jakiéjś kolligacyi z Tyszkiewiczami... Dziewczyna nie w ciemię bita, musiała sobie namotać zawczasu, że albo przez hetmanowę lub przez referendarzowę wnijdzie w te koła, do których aspiruje, a na których wspomnienie mnie domatora, szlachetkę, hreczkosieja, aż dreszcze przechodzą!

Twarz okrągła, śmiejąca się poczciwego Burzymowskiego chmurą sie oblekła.

— Cóż poradzić z młodemi? Jabym rad w prawo, ona ciągnie w lewo, a młodość zawsze silniejsza i nie chce się jéj psuć wesela, którego tyle co na zaraniu! (westchnął). Zobaczemyż co się tu u was święci... i... tego!..

Pokutyński przysłuchiwał się z uwagą wielką.

Po twarzy jego przebiegały uśmieszki różne, nie spieszył z odpowiedzią, kruszył i jadł piernik. Naiwny szlachcic, który mu się tak otworzyście spowiadał ze wszystkiego, obudzał w nim widocznie rodzaj politowania, do którego mięszało się nieco szyderstwa. Dawszy się wygadać przyjacielowi, spytał od niechcenia, unikając odpowiedzi na pytanie, co się dzieje w Warszawie.

— Zabawicie więc pewnie przez karnawał?

— Albo ja wiem! — zawołał Burzymowski. — Na karnawał, na post, na całą zimę może jedziemy. Jak się moja droga jedynaczka uprze siedzieć, nie będę się mógł ruszyć bodaj i rok cały! Bo, proszę cię, jak tu dziecku odmówić? Skrzywi się, zasmuci — żal; zacznie prosić, przymilać się, najtwardsze serce, kamienne by zmiękczyła. Ja, słowo ci daję, choć mam swoją wolę, o! i twardą! ho, ho!.. ale znowu dziecka własnego tyranizować nie mogę... to darmo!

— Masz słuszność, — rzekł z ironią dobrze zamaskowaną Pokutyński. — Jedna jest młodość, tyle jasnych dni w życiu, co ta odrobina młodości. Nie trzeba jéj nikomu psuć.

— Otóż to jest! otóż to!.. Ja to samo zawsze powiadam, jedna młodość jest w życiu, — podchwycił Burzymowski, — niechaj się przynajmniéj pobawi dopóki młoda!

— No, w Warszawie, - przerwał żwawo szam-

belan, — w Warszawie na zabawach, *nom d'un nom*, zbywać wam nie będzie.

Pamiętasz mój drogi, ów nasz sławny sejm czteroletni? No, zdaje mi się, że Warszawy więcéj ożywionéj jak naówczas była, wyobrazić sobie trudno, a ja ci powiem, że dziś niemal tak ochoczo i gwarno się bawią, jak naówczas. *C'est tout dire!*

Burzymowski rękami strzepnał.

— Tamto było co innego! — zawołał. — Dziś, zamiast naszego dobrego, miłego pana, gospodaruje tam jakiś Jaśnie Wielmożny Gubernator pruski czy prezydent, czy jak go tam zowią, bo nie wiem, a zamiast naszéj gwardyi stoi wojsko niemieckie w pluderkach i kamaszach, na które dosyć spojrzyć i posłyszeć jak szwargoczą, aby i apetyt i humor utracić.

— Eh! obyliśmy się z tym poczciwym Koehlerem, który jest nadzwyczaj gładkim i miłym człowiekiem, — odparł szambelan, — obyliśmy się i z tém *Eins, zwei, drei!* Zresztą niemców u nas jakoś ani słychać tak bardzo, ani widać — przycupnęli.

Burzymowski niedowierzająco głową potrząsł.

— No, to musi być ich czuć przynajmniéj, — rzekł nosem pokręcając. — Dajmy temu pokój. Wy macie jeden ich gatunek, my drugi, a dla mnie oni wszyscy djabła warci.

Po chwili dodał:

— A z familii królewskiéj kogóż tam macie?

— No, starego księcia ex-podkomorzego, który się już bardzo posunął, — począł Pokutyński.

— Hm... I Truskolaską porzucił? — spytał szlachcic.

— O! dawno! — rozśmiał się Pokutyński, — choć nie ręczę, żeby ją jaka Józia nie zastępowała, bo on bez tego nigdy nie był.

— Stary bałamut! — ruszając ramionami mruknął Burzymowski. — I kogóż więcéj?

— Jest pani hetmanowa, no, i nasz książe Józef, gwiazda nasza! — zawołał Pokutyński z zapałem.

— A książe Józef, jakże? co? tego? hm? spytał Burzymowski, nie śmiejąc się wyrazić dobitniéj.

Po chwilce namysłu, Pokutyński zawsze w mowie oględny, odpowiedział zwolna cedząc.

— Książe Józef? Jakże ma być? tego... Na niego oczy niemców zwrócone, boją się go jakoś instynktem, musi siedzieć i udawać; jakby go oprócz fatałaszek nic w świecie nie zajmowało. Lew śpi! pod Blachą u niego całe życie się skupia, z pod Blachy ono na miasto płynie. Musimy się bawić szalenie, aby nas nie posądzali że nam z niemcami nie dobrze. Więc, pod Blachą nic, tylko wyrocznia mody i opinij. — Nie wiesz o tém?

— Słyszałem *praeter propter*, odezwał się Burzymowski — ale, to jest zawsze dom kawalerski, dla mężczyzn, a kobiety —

Pokutyński popatrzał nań długo, długo i rzekł od niechcenia.

— Kobiety przecie przyjmuje pani Tyszkiewiczowa, a gdy jéj niema (bo ona tu rzadko siedzi) — to jest przecie jéj przyjaciółka pani Vauban.

Posłyszawszy to imię szlachcic zdziwiony, stał dotąd długo niemy, i jakby wahał się wydać z niewiadomością swoją, wtrącił w końcu nieśmiało.

— Ale bo widzisz, mówiłem ci że jestem z zakordonu. Jak? jak? Vauban? Vaubin? Cóż to za jedna?

Szambelan wydął usta, wziął próżny kieliszek w rękę, i zamiast patrzeć w oczy Burzymowskiemu, zmrużywszy jedno oko, przyglądał się długo kieliszkowi który był dosyć pięknie rzezany.

— Pani de Vauban, począł nareszcie bardzo wolno — pani de Vauban- hm — jakże by ci to powiedzieć? Jest to emigrantka francuzka, osoba wysokiego tonu, extra delikatnego zdrowia, extra wykwintnych sentymentów, — jest to przyjaciółka od serca pani Tyszkiewiczowéj, która dla słabéj konstytucyi, niedozwalającéj jéj się narażać na częste a długie podróże, raz tu przybywszy z panią referendarzową — ot, tak została pod Blachą, oczekując na powrót przyjąciółki, a tymczasem za nią robi honory domu.

— *Quo titulo?* zapytał szlachcic natarczywy.

— Jakto! rzecz bardzo prosta! jako przyja-

ciółka siostry księcia, i — jako gospodyni domu który ma tylko gospodarza — rozumiesz?

Szlachcic głową kiwał z jakąś miną, jakby mu to jeszcze nie ze wszystkiém wydawało się jasném.

— Jakoś ja tego spełna, mierząc naszemi obyczajami, nierozumiem dobrze, odparł Burzymowski, albo ty figlarzu, *antiquo more*, kpisz sobie po prostu ze mnie.

— Uchowaj Boże! mówię ci prawdę najszczérszą i rzecz tak jasną, odparł Pokutyński— tak naturalną, że nie pojmuję co w niéj ciemnego znajdujesz.

Burzymowski w głowę się podrapał.

— A któż tam bywa pod tą Blachą? zapytał.

— Pchi! wszyscy, co do nogi i co do nóżeczki najarystokratyczniejszéj — dodał Szambelan oprócz kilku starych kwok nudnych.

Burzymowski ręce zapakowawszy w kieszenie kapoty, chmurny i zadumany począł się po izbie przechadzać.

— Ta — Vauban — czy jak tam, ma męża? spytał odwracając się.

— A ma! poczciwy jakiś człek, przyjeżdza tu ją odwiedzać czasami. Francuz wielce utalentowany, gra w teatrze amatorskim, jak gdyby całe życie był z professyi artystą.

— Role mężów? spytał Burzymowski wciąż dumając.

— Mężów i kochanków nawet, dodał Pokutyński — *en perfection.*

Nastąpiło milczenie, wieśniak stanął i począł z natężeniem w oczy patrzeć Pokutyńskiemu, który w końcu na głos się rozśmiał.

— Mówisz że wszyscy bywają pod Blachą? dodał szlachcic.

— Powtarzam, wszyscy! potwierdził Szambelan.

Burzymowski pozostał w zadumie, potém żywo do ucha przyskoczywszy Szambelanowi, coś mu pospiesznie szeptać zaczął.

— Albo ja wiem! odparł wolno Pokutyński co to do mnie należy!

Znowu Burzymowski chodził ze zwieszoną głową, i nierychło odezwał się jakby sam do siebie.

— Tandem tedy, mościdzieju, to tam jakieś pokrewieństwo nasze, a raczéj Sylwki nie moje z Tyszkiewiczami, bardzo dalekie i dajmy na to że go i niema. Ja się wcale o nie upominać nie myślę, — wysokie progi na moje nogi. Są inne domy cichsze, nieksiążęce, które nam lepiéj przystaną.

— Znajdziesz ich do wyboru ile zechcesz! ale kwiat i śmietanka zawsze nie gdzieindziéj tylko pod Blachą — rzekł Pokutyński, — jest, czcigodna pani kasztelanowa Połaniecka, jest pani starościna krakowska, są państwo ex-Stolnikowstwo koronni, wielka mnogość różnorodnych Po-

tockich, naostatek i szanowny nasz Aristides, marszałek Małachowski, taki nudny jak i był.

— Ale proszęż cię? podchwycił Burzymowski, i wszystko się to w kupie trzyma? Vaubany i Aristides, Wielopolska i Hetmanowa, Sołtyk i Blacha??

Pokutyński serdecznie śmiać się zaczął i nim się na odpowiedź zebrał, uściskał wprzódy dobrodusznego szlachcica.

— Poczciwości ty moja! zawołał parskając— nie wszyscy żyją ze wszystkiemi, trudno — ale się nikt z nikim nie kłóci. Ładzimy się z sobą jak możemy, przekonasz się, zobaczysz!

— No! tak, zobaczymy — rzekł Burzymowski kwaśno, bo go uścisk nie udobruchał, choć go oddał szambelanowi — zobaczemy, ale ja od ciebie, kochany kolego, jasnéj, otwartéj odpowiedzi i skazówki żądałem, a ty półgębkiem coś bąkasz, czego ja, symplicjusz, prostym szlacheckim rozumem pokombinować nie mogę.

Niewiadomo jakby się tym razem naciśnięty szambelan potrafił wykręcić ze dwuznaczną odpowiedzią, bo z twarzy jego widać było że nazbyt szczerym być nie myślał, gdyby, szczęściem dlań, w austeryi hałas nie powstał wielki.

Głosy w zajeździe posłyszawszy poczciwy Burzymowski rzucił się ku drzwiom pospiesznie, domyślając się niepłonnie że córka jego przybyć musiała.

II.

Pokutyński za odchodzącym przyjacielem powiódł oczyma przymrużonemi, uśmieszek mu się przesunął po bladych ustach, zwolna wyciągnąrękę ku swemu szalowi tureckiemu, jakby w zał miarze zawiązania go znowu, gdy drzwi otwarły się szeroko i Burzymowski z twarzą rozpromienioną i tryumfującą wprowadził swą jedynaczkę, za którą tuż szła pani Wojska Czeżewska, towarzyszka jej i krewna, pospolicie ciocią dla krótkości nazywana, chociaż ściśle wziąwszy, do tytułu tego żadnego prawa nie miała.

Pokutyński chociaż wcale już młodym nie był człowiekiem, galantem jednak dla dam być nie przestał, a choćby nim i nie był, zjawienie się istoty tak ślicznej jak panna Sylwia, musiało ną

nim i na każdym najostyglejszym uczynić pewne wrażenie.

Nie zbywało naówczas Warszawie na znakomitych pięknościach niewieścich, — na których nie brak jéj nigdy; pań i panien cudnie urodziwych było mnóstwo, począwszy od księżniczki Anieli Radziwiłłownéj, i panny Teressy Kickiéj (w któréj kochał się książę Adam Czartoryski), Laury Potockiéj i wielu a wielu innych, aż do niemłodéj już, ale zawsze jeszcze uroczo pięknéj, niegdyś przez Trębeckiego opiewanéj Kossowskiéj.

Pomimo nawyknienia do widoku tych promieniejących obliczów, Pokutyński uznał w duchu że panna Sylwja Burzymowska mogła śmiało stanąć w ich kole, i bodaj o lepszą walczyć z nimi. Spojrzał na nią gdy zasłonę i chustkę zdejmowała z dziecinną, naiwną zalotnością zbliżając się ku niemu, i — prawie osłupiał.

Spodziewał się nieszpetnéj sobie, wiejskiéj, rumianéj, zdrowéj i wesołéj dzieweczki z okrągłą twarzyczką ojcowską, ale nie takiego cudu!

Panna Sylwestra, którą matka jeszcze eufonicznie na Sylwię przechrzciła, bo imiona romantycznie piękno brzmiące były naówczas w modzie — miała wszystkie warunki wymagane od niewieściéj piękności; — wzrost, kibić zręczną i gibką, wdzięk naturalny ruchów, który ją nic nie kosztował i wyuczony niebył, twarz cudnego blasku i wyrazu, tryskającą życiem, oczy zabój-

cze, ogniste, napastliwe, płeć nieporównanéj świeżości, włosy prześliczne, ząbki perłowe, a do tego wszystkiego w dodatku śmiałość wiejską rozpieszczonego dziecięcia, zalotność niewinną, pojętność wielką i żywość.

Tak jak na poczciwego ojca twarzy cały się Burzymowski malował; u córki też dusza mówiła przez oczy. Można było zaręczyć, nim otworzyła usta, że się odezwie dowcipnie, wesoło, roztropnie i nieda niczém się onieśmielić, nie nastraszy niczego. Blask jéj wzroku zmięszał niemal nawet starego i ośmielonego Pokutyńskiego; zdawało mu się iż wprost do duszy jego zajrzała.

Pierwszą myślą jego było – że choć Warszawianką się nie urodziła, natura ją uczyniła czystej wody Warszawianką.

Samowolne dziewczę, wychowane na wsi, w domu w którym nawykło królować, było tak pewném siebie, jakby mu wszędzie na świecie należało panowanie. Zbliżyło się do szambelana Pokutyńskiego nieokazując najmniejszego, nawet przelotnego pomięszania.

Ciocia, pani Wojska Czeżewska, która niegdyś zachwyciła była trochę łepszego towarzystwa i — jak mawiała, bywała na wielkiém świecie, a późniéj zardzewiała na wsi, miała ton i maniery przestarzałéj elegantki i śmieszną nieco wymuszoność a krygi. Resztki niedogasłéj piękności, zaledwie już dostrzeżone, pielęgnowała do

zbytku starannie, ruchy miała teatralne; pamięć zbytnia o sobie w tym wieku, sentymentalizm przestarzały, nadawały jéj nieco karykaturalną postać.

Ojciec właśnie przedstawiał szambelanowi córkę, a córce Pokutyńskiego, jako najlepszego przyjaciela młodości, razem prezentując go pani Wojskiéj, która z bardzo poważną miną, wielce uroczystym witała go dygiem; gdy Sylwia zawołała żywo:

— A! panie szambelanie, czyż nawet do Warszawy lepszych dróg niema? Myślałam że ojca nigdy nie dogonimy! Wlókłyśmy się z rozpaczliwą, żółwią powolnością, konie szły jak w pługu! A, co to za droga! co za droga! nigdy jéj w życiu nie zapomnę!

To mówiąc już oczyma badała całą postać starego szambelana, który nawzajem pilno i z nietajoną rozkoszą, wpatrywał się w ten śliczny kwiatuszek, nie mogąc widokiem jego nacieszyć.

Wrażenie jakie na nim Sylwia uczyniła, tak się w twarzy jego odmalowało dobitnie, że panna się zarumieniła. Nie żeby ją to zakłopotało, lecz owszem, że to jéj uczyniło przyjemność. Miło jéj było hołdy odbierać, tak jakoś, — czuła że się jéj one z łaski Bożéj należą.

Starym obyczajem Stanisławowskiego dworu, Pokutyński musiał rozpocząć od cukrowanego komplementu.

— Ja tedy, rzekł uśmiechając się — będę tak szczęśliwym iż pierwszy zwiastuję w Warszawie o zjawieniu się nowéj, jasnéj gwiazdy na jéj niebie.

Burzymowski posłyszawszy to, aż poskoczył. Chwycił go za rękę niemal z przestrachem.

— Człecze! przyjacielu — szambelanie! Pokutynsiu! krzyknął — na rany pańskie, zlituj się, nikomu tylko o nas nie mów! nie oznajmuj! nie zwiastuj. Proszę, błagam, zaklinam o to! Niewiemy jeszcze wcale jak się urządzimy, gdzie i jak bywać mamy, gdzie niebywać... Zmiłuj się! zlituj!

Pannę to wcale jakoś nie nastraszyło, rozśmiała się tylko. Niewiadomo z szambelana komplementu czy z ojca przestrachu.

— O! o! zawołała śmiało głosikiem dzwięcznym, w którym grało życie — na gwiaździstém niebie Warszawy, ja chyba będę niezgrabnym obłoczkiem — prosta sobie biedna wieśniaczka! Przyznaję się panu szambelanowi, że z niemałym jadę strachem, z ogromną ciekawością — no, i z ochotą bawienia się i wybawienia za wszystkie czasy!.

Ojciec słuchając, twarzą robił najdziwniejsze miny, Sylwia z ukosa nań rzuciła oczkiem, ale kwaśnego i zakłopotanego usposobienia nie chciała wcale zrozumieć, czy brać do serca.

— A! nie uwierzysz pan — ciągnęła dalej, jak tam u nas za kordonem austryackim smutno i nudno. Warszawa, choć pod Prusakiem, zawsze Warszawą.

— Mogę pani zaręczyć — przerwał Pokutyński, że jest tak świetną jak tylko z prusakami być może, którzy nam nie przeszkadzają się weselić, a my korzystamy z tego ufając w Bogu, że kiedyś oni ustąpić muszą.

— No — i bawią się tam wesoło! wesoło! nieprawdaż? dodało dziewczę naiwnie — A! proszę pana się nie śmiać ze mnie, że ja tak nieustannie o zabawach mówię! Ja się sama tego wstydzę, wiem że nam wesołość dziś nie do twarzy, ale taka jestem biedna z tém moim trzpiotowstwem dziecinném — nieumiem inną być! I załamała rączki, a ślicznie jéj z tém było.

— Ah! niemasz się pani czego wstydzić — żwawo wtrącił szambelan. My starzy szukamy zapomnienia biedy w zabawach, cóż dopiero młodzież, dla któréj one są żywiołem jak powietrze i woda? W Warszawie znajdziesz pani wszelkie rodzaje zabaw i rozrywek, jakie sobie tylko wyobrazić można — na rozkazy, do wyboru!! na skinienie! Młodzież męzka i żeńska najlepszego tonu, wszystkie światy i sfery, jakich kto zapragnie.

Mamy świat *par excellence* najwytworniejszy, francuzki, paryzki, samą *crème* emigracyi; mamy krajową jego imitacyę doskonałą, świat staro-

polski z niebardzo jeszcze wyszarzanymi kontuszami, a trochę zbutwiałemi ideami; świat niemiecki Koehlerów i Hoymów zaperfumowany francuszczyzną a cuchnący biurokracyą, naostatek młody światek — wojsko nieregularne wielkich nadziei — !

Piękna Sylwia słuchając trochę dowcipkującego już dla przypodobania się jéj szambelana, aż w rączki plaskała z radości, śmiejąc się doń wesoło, co zmusiło panią Wojskę do wstydliwego spuszczenia oczów, gdyż tę swobodę uważała za wielką nieprzyzwoitość i sromała się za swą wychowankę.

Stary Burzymowski także nie bardzo być rad musiał ze znalezienia się córki i stał frasobliwy to głowę gładząc, to odchrząkując znacząco, to smutnie spoglądając na swe zapylone buty. Twarz mu chmurniała, oczyma zdawał się chcieć do zrozumienia dawać Pokutyńskiemu, ażeby się z malowidłem Warszawy niekoniecznie rozpościerał tak szeroko. Szambelan zaś był pod tak silném wrażeniem piękności panny, że dla niéj gotów był względem przyjaciela dopuścić się nieposłuszeństwa i zdrady.

Rozmowa zaczynała się coraz swobodniéj rozwijać, bo Sylwia zawojowawszy od razu szambelana, chciała z niego wyciągnąć wszystkie jéj potrzebne wiadomości, których była spragnioną — a czuła już — że Pokutyński musi jéj być posłu-

sznym — gdy — z dala dały się słyszeć śpiewy jakieś osobliwego rodzaju.

Nie był to ani śpiew żydów, obchodzących swe nabożeństwo, ani hukanie napiłych wieśniaków; żaden z tych dwu rodzajów, jakich w karczmie się spodziewać było można, ale coś extra ordynaryjnego, dziwnie niesfornego, krzykliwego, zuchwałego, hałaśliwego, junackiego, zmięszanego z pieśni, wrzasku i śmiechu.

W izbie karczemnéj nastało milczenie, wszyscy się przysłuchiwali z podziwieniem i niejaką trwogą. Jeden może Pokutyński domyślał się co to być mogło, brwi podciągnął do góry, drgnął usta zakąsił.

Panna Sylwia, którą nic ustraszyć nie mogło, śmiała się — rada już i téj jakiéjś niespodziance. Wojska miała minę wystraszoną, Burzymowski zdumiewał się i głową kręcił, okazując niepokój, zwłaszcza że śpiew ten coraz dobitniéj, wyraźniéj, głośniéj począł się przysuwać, zbliżać, naostatek zabrzmiał w sieniach i rozszedł się po nich echem szerokiém.

Niedość na tém, przysunął się pod same już drzwi, które się nagle z wielkim łoskotem otwarły.

Kilkunastu młodych i średniego wieku mężczyzn, z twarzami mocno zarumienionemi, w strojach najrozmaitszych, począwszy od kurtki z lisami do taratatki i fraka, stało w progu z kielichami w ręku.

Wszyscy byli pod tęgą datą, rozochoceni, rozgorączkowani. Pieśń pospolita, dawna, znana już z saméj nuty swéj, brzmiała niezgodnemi głosy:

A kto nie wypije,
  Tego we dwa kije.
Łupu cupu, cupu łupu,
  Tego we dwa kije!

Tężyzna ta, bo tak wówczas zwano hulaków, niespodziewała się pewnie spotkać z kobietami, gdyż zobaczywszy je, nagle śpiewać przestała, czapki się niektóre podnosić zaczęły.

Była chwila namysłu i zgryzot sumienia.

Wtém mężczyzna ogromnego wzrostu, twarzy butnéj i zuchwałéj, ruchów żołnierskich a rubasznych, stojący na przodzie, krzyknął głosem donośnym.

— Szambelan Pokutyński, dezerter, prosimy o wydanie go w ręce sprawiedliwości! — Powiedziano jest w prawie pruskiém, ruskiém i mazowieckiém, że kto przechowuje dezertera, podpada téj karze co on sam!

Towarzysze mówcy przypatrując się z ciekawością niezmierną pięknéj Sylwii, szeptali coś żwawo do uszu jeden drugiemu. Burzymowski rozdrażniony wąsa już nie kręcił ale go darł.

Z dala za tą gromadką z kielichami, widać było żydów, włościan, furmanów, gawiedź wszelaką, która się zbiegla przypatrzeć tej osobliwej procesyi. Zybek, stworzenie ciekawe niepomier-

nie, między nich się wcisnąwszy prawie, śmiał się tak że aż przysiadał.

— Prosimy o przebaczenie, ciągnął daléj olbrzym ów innym przodujący, który był nie kim innym tylko sławnym Dąbskim — nie wiedzieliśmy o obecności dam, a niewiadomość, jak wiadomo, grzechu nie czyni. Bądź co bądź niewieście robrony, choć za szańce służyć mogą, nie dają *droit d'asyle.* Dezertera się domagamy, nieodzownie!

Wtém cała gromadka hucznie zawtorowała za mówcą.

— Dezertera! Dezertera!

A jeden zanucił.

— *Et caetera! et caetera!*

Obudziło to śmiech powszechny. Wojska Czeżewska nie cierpiąca scen grubijańskich, przerażona tém najściem gwałtowném, nad wyraz wszelki, zobaczyła szczęściem drzwi do drugiéj izby otwarte, i pociągnąwszy Sylwię za sobą, zniknęła drzwi natychmiast ryglując, bo — za nic ręczyć nie można było! Trzęsła się jak w febrze..., powtarzając.

— A cóż to za grubjaństwo!

Oddalenie się kobiet, oswobodziło je wprawdzie od zuchwałych wejrżeń, ale położenie osamotnionego Burzymowskiego uczyniło nieskończenie trudniejszém.

Mówca bowiem, widząc że mężczyźni pozo-

stali sami, nie wahał się już wkroczyć do izby ze szklanką w ręku, a towarzysze jego nieodstępni, żwawo poszli za wodzem w ślady. Szlachcic znalazł się otoczony, ściśnięty przez tę młodzież junacką, która na nim nader przykre czyniła wrażenie, choć własną mu przeszłość przypominać mogła.

Goście przybywający pod hełmem, nawykli przytém do łatwego robienia znajomości u kieliszka, znęceni cudnie piękną twarzyczką, któréj pokrewieństwa blizkiego z okrągłym szlachcicem łatwo się było domyślić — posunęli się rewindykować dezertera, ale razem przedstawili się po kolei Burzymowskiemu i — *stante pede*, pili już jego zdrowie.

Szlachcic, jakeśmy mówili, miał od natury dane serce miękkie, nierad był uchybić nikomu, więc choć zły, starał się być niezmiernie grzecznym. Przyjmował uściski rąk i całusy, wywzajemniając się z coraz większą serdecznością wieśniaczą. Ogólne usposobienie powoli nań oddziaływało. — Uśmiechał się.

Słychać było cmokania i nazwiska, a w przestankach Burzymowskiego wykrzykniki.

— Ale — mój mości dobrodzieju...

Zbytek łaski.

— Nadzwyczaj mi przyjemnie.

— Nóżki asandzieja całuję i t. p.

Szambelan Pokutyński, widząc że z jego po-

wodu szlachcic był w nader kłopotliwem położeniu, zmiarkował że go inaczéj nie ocali jak poświęcając się za towarzysza, wziął więc swój szal i miał się do wyjścia.

— No, więc kiedy każecie, — zawołał — idę z wami, wypiję za zdrowie wasze, ale waruję sobie że mnie zaraz potem wypuścicie, bo na wieczerzy u Grabowskiej muszę być — słowo wam daję — muszę.

Ogromny mężczyzna, sławny zawadya Dąbski, vulgo *Dąb*, przez innych *Klocem* zwany, nie zaspokoił się tem i zwrócił uśmiechając się do Burzymowskiego.

— Mój mości dobrodzieju, — rzekł z patetycznością umyślnie przesadzoną — spodziewam się, że nam téj inwazyi na swe terrytoryum za złe mieć nie będziesz, a na dowód że rankoru do nas nie masz, nie odmówisz z nami o trzy kroki do oficyny, na szklankę ponczyku — *ut sic!* Powiadam ci, złoty panie, ponczyk jaki ja tylko robić umiem — bez kropelki wody. Delicye! Oblizywać się po nim! Jeżeli ci iść trudno, obywatelu, dla przyjemnej okrągłości swej, my cię na rękach zaniesiemy! Uczyń nam ten honor i przyjemność — daj dowód że cesarz austryjacki sprzyja królowi pruskiemu, którego my tu reprezentujemy, inaczej konsekwencyje okropne, wojny, rzezie, pożogi!

W razie gdybyś był głodnym, a tu czekał na

jajecznicę, ja tam ci ręczę za kawałek huzarskiej pieczeni, która już musi być gotowa — i — z cybulą!

Hej, mopanie! Cygan się dał dla kompanii powiesić!

— Ale dajcież mu pokój, z córką jedzie, z kobietami, pilno mu jest — zawołał Pokutyński stając w obronie.

— Milczałbyś! nie masz głosu! — odparł Dąbski impetycznie. — Jeżeli o niewiasty idzie, dwu z nas gotowi wartę dla ich bezpieczeństwa zaciągnąć! Nie konfiskujemy go na wiekuiste czasy, za pół godziny cały i zdrów powróci, ogrzany ponczem i odżywiony pieczenią — w dobrem towarzystwie. Panna spocznie, a gdyby zmierzchło, gotowiśmy około sanek jako salwe gwardyja towarzyszyć do Warszawy!!!

Burzymowski spotniał aż od tego srogiego utrapienia, kręcił się, kłaniał, zacierał ręce, tymczasem, na znak przez wodza dany, Kwiński i Anizetka już go pochwycili grzecznie pod ramiona.

Opierać się nie było sposobu. *Nec Hercules contra plures.* Koszycki usłużnie już mu czapkę jego z uszami nakładał w ten sposób, iż oczy zasunął, Kalinowski ku drzwiom z kielichem kroczył, ani przypuszczając nawet aby się szlachcic śmiał i mógł im oprzeć.

Burzymowski sam czuł, że tej łaskawości nie

będzie mógł uniknąć, zawołał więc tylko błagająco.

— Zmiłujcie się, panowie, niech tylko słówko powiem córce, bo będzie o mnie niespokojna!

— Zgoda! wracaj pan zaraz, my nieopuszczając terrytoryum — czekamy! — zawołał Dąbski.

Puszczono go do drogiej izby, którą na zapukanie, drżąca Wojska odryglowała, a gdy powrócił, wzięto go pod ręce znowu i — *processionaliter*, jak przybyli, nucąc śpiew wszyscy pociągnęli, wybierając gdzie był najgłębszy śnieg, do oficyn pałacowych. Pokutyński i szlachcic musieli iść w pośrodku, jak więźniowie i winowajcy.

Raz już popadłszy w towarzystwo zawadyaków, Burzymowski usiłował się do niego nastroić, być wesołym i serdecznym, choć na twarz mu wystąpiły marszczki a w duszy po stokroć przeklinał spotkanie swoje z Pokutyńskim i niepotrzebne odezwanie się do niego.

W istocie położenie ojca pięknej Sylwii niebyło do zazdrości. Pragnął ją ustrzedz od zetknięcia się ze światem roztrzpiotanym i rozpasanym, a wpadł od razu pomiędzy młodzież najszaleńszą, rozhulaną i nierespektującą nic w świecie. Musiasię z nią całować, ściskać i zawiązywać uciążliwe na przyszłość stosunki. Wszyscy ci panowie, wypiwszy jego zdrowie, mieli prawo odzywać się potem do znajomości, wciskać się do domu, zapraszać się do niego, a jego ciągnąć do siebie.

Tkwiła mu też w głowie Blacha i pani Vauban, a wystawiał sobie, że ta tężyzna do obozu księcia Józefa należeć musiała, choć w istocie tak nie było.

Struł go Pokutyński półsłówkami o towarzystwie pod Blachą, a tu nowe strachy przynosiła znajomość tak niebezpiecznej młodzieży.

Z temi sztyletami w sercu trzeba się było śmiać, weselić, na dowcipy odpowiadać i udawać wielce uszczęśliwionego.

Najwięcéj jednak frasowała go Blacha, z tą jakąś wielce podejrzaną panią Vauban! Jak tu było się z tego przed Sylwią wykręcić, aby tam nie zaglądać, nie przypominać się koligacyi, nie zawiązywać stosunków i pozostać na boku.

Burzymowski miał wielką cześć dla nieboszczyka króla, który go zrobił szambelanem i dał mu order; miał cześć dla całej jego rodziny, zatem i dla synowca — a mimo to, córki teraz pod Blachę wprowadzić sobie nie życzył. Po głowie mu chodziło, że go ta poczciwa, nieopatrzna Sylwia zmusić może. — Znał swą słabość dla niej i powtarzał w duchu:

— O'la Boga! O'la Boga! co ja tu poczznę! Po co mi tu jechać było!

Myślami temi skrępowany, dostał się do oficyny.

Wprowadzono go tu uroczyście do wielkiej izby, w środku której stał stół na pół obrusem

pooblewanym już okryty i jak mappa wyglądającym, zastawiony opróżnionemi butelkami, powywracanemi szklankami, przyozdobiony wazą do ponczu przygotowaną. U podstawy jej leżały bryły cukru, stos pomarańcz i cytryn.

Mimo tych myśli zgryźliwych i ciężkości jaką na sercu doznawał, Burzymowski był szlachcicem kość z kości naszych; wpadłszy między wrony, musiał krakać jak i ony.

Rozweselił się natychmiast i rozdobruchał, biedę zawieszając na kołku, do jutra. Posadzono go na miejscu honorowem, ponowiono zdrowie, ściskając i całując *iterum iterumque*. Co miał robić! Na czczy żołądek po podróży (bo goldwasser z piernikiem dawno zapomniane zostały) wlał duszkiem szklankę ponczu jak spirytus mocnego. Nalano mu drugą, której odmówić nie mógł, zwłaszcza że przedziwnie smakował, zatarł czuba, zapomniał niemal gdzie był i jak się tu dostał. — Słuchał tłustych dykteryjek i śmiejąc się walił nogą w podłogę, bił się po kolanach, łapał za głowę, przysiadał, podskakiwał, jakby za dobrych starych czasów sejmu czteroletniego.

On z nich, oni z niego byli bardzo szczęśliwi.

Ludzie mu się wprawdzie wydawali zamaszyści nad miarę, butni i zawadyje, ale po ponczu byłby już przysięgał, że serce mieli złote lub djamentowe. Coraz to czuł potrzebę ich ściskać, potem ręce za pas zakładał, pokrzykiwał wesoło,

sam się nawet junaczył, aby do ich tonu dostroić siarczyście.

Trwało to dopóty, dopóki, podpiwszy jeszcze lepiej, nie zaczęli kawalerowie rozpowiadać o swych miłostkach. Kalinowski był właśnie *in tractu* wykradania panny Protówny Potockiej, inni się przechwalali jak zręcznie zawiązywali intrygi, przesyłali bileciki, ujmowali sługi, korzystali z redut, kasyna i przejażdżek do Mokotowa i Młocin.

Burzymowski uśmiechał się wprawdzie słuchając przez grzeczność, ale ciarki po nim przechodziły. To co tu spotykało innych, jemu też i jego najdroższej jedynaczce mogło się przytrafić.

Wprawdzie dowiadywał się tajemnie i nabywał doświadczenia na jakich drogach trzeba się mu było pilnować, lecz zarazem drżał, wyrzucając sobie, że dobrowolnie popadł w tak straszne niebezpieczeństwo.

Przyklaskiwał wisusom przechwalającym się z temi sprawkami, niemogąc okazać swego oburzenia, choć klął ich w duchu. Poncz, który mu był w głowie zaszumiał, pod wrażeniem tych straszliwych rewelacyj, ulotnił się.

Pochlebiał sobie, że nikt na twarzy jego nie wyczyta niepokoju i frasunku jaki go opanował, chociaż Pokutyński uśmiechał się zdala widząc mieniącą się twarz szlachcica. Radby był co najrychlej opuścić to towarzystwo, ale przyrzeczonej

pieczeni huzarskiej z cybulą czekać mu kazano, a tymczasem historye pięknych pań i panien, z komentarzami tłustemi, sypały się z przerażającą obfitością szczegółów.

— Sodoma i Gomorra! — powtarzał w duchu Burzymowski — otom wpadł! otom wpadł!

Zapomniał biedak, że cale nie lepiej za jego czasów bywało, lecz — szło mu o najdroższe dziecię.

Po długiéj męczarni, którą z uśmiechem zmuszony był znosić pan Stanisław, wniesiono na ostatek pieczeń huzarską i jeszcze burgunda, wyproszonego u Rządzcy książęcego pana Hofmana, który od piwnicy pańskiej miał klucze. Pieczeń dla głodnego miała pewien urok, przysmażona cybulka woniała przedziwnie; zatarło to na chwilę przykre wrażenia, bo żołądek ma prawa swoje. Ze szklankami wina Burzymowski roztargniony nie liczył się wcale — boć, na frasunek dobry trunek, i, co miał do osieroconej córki pośpieszać, dał się wstrzymywać, siedział, sam już nie wiedział dla czego.

Rozgadał się w końcu daleko więcej niż był powinien; Ichmość, co go przyjmowali, dobyli z niego co chcieli, pokumali się z nim poufale, jak z dobrym koleżką, i gdy nareszcie Pokutyński, daleko od niego ostrożniejszy i trzeźwiejszy wyciągnął go, Burzymowski tak się pożegnał ze wszystkiemi serdecznie, jakby nazajutrz miał po-

dzielać ich płochy żywot i wnijść w ich obyczaje.

Trwało to usposobienie jednak nie dłużej jak do progu austeryi. Tu widok córki wznowił uczucia niebezpieczeństwa i strachu. Konie natychmiast kazał zaprzęgać, aby salwe-gwardyi uniknąć, i — ruszono. Pożegnawszy Pokutyńskiego, Burzymowski przy pomocy Zybka wdrapał się do swoich sanek — i tu — sam na sam z pamięcią, sumieniem i myślami czarnemi, począł się gryść, boleć, wyrzuty sobie czynić okrutne.

Poncz i burgund uleciały na wolnem powietrzu, został tylko po nich ból głowy ciężki i smutne przeczucia.

— Śliczne porobiłem znajomości! nie ma co mówić! — szeptał sam do siebie — początek co się zowie! Ale, rozumny człek powinien ze wszystkiego korzystać. — Wiem teraz jak się pilnować, jak opędzać i nic nie ujdzie mojego oka!

Zjedzą licha, żeby mi się wdarli do domu — mimo mej woli i wiedzy, albo potajemne zawiązali stosunki. — Najgorsza rzecz ma jeszcze dobrą swą stronę dla — człowieka z głową!

Czuł Burzymowski, że sam sobie tego piwa nawarzył; usiłował więc przekonać siebie, iż z tego waru nic złego wyniknąć nie może. Nie pierwszy to raz trafiało mu się bąka wystrzelić; w takich wypadkach brał zawsze na rozum „trutynował“ jak powiadał, a nie uspokoił się dopóki

nie dowiódł sobie, że on nie jest winien w najmniejszej rzeczy, ale skład okoliczności nieuniknionych.

Na ten raz w istocie okoliczności się przyczyniły wiele do obrotu sprawy. Na widok Pokutyńskiego nie mógł nie wykrzyknąć! a niepodobna było przewidzieć, że ów szambelan sam jeden pociągnie za sobą do austeryi całą gromadę zuchwalców. Gdyby ci ichmość, którzy wtargnęli tak obcesowo, byli trzeźwi, Burzymowski mógłby się był wymówić od wycieczki do oficyny — z podchmielonymi, a prawdę mówiąc pijanemi, trudno się było kłócić, opierać, aby nie wywołać awantury. Więc, dla miłego spokoju pójść musiał, a poszedłszy pić, a podpiwszy całować się, a całując słuchać konfidencyi *et sic porro.*

Burzymowski tak czuł zawsze, iż mu sumienie słabość wyrzucać może, że za każdym jej dowodem, póty rozumował, trutynował, sofistykował dopóki nie doszedł do pożądanego wniosku iż — dał oznakę siły a nie miękkości charakteru.

Za żywota nieboszczki małżonki, osoby żywéj, lubiącej zabawy i towarzystwo, trochę zalotnej (drudzy mówili że bardzo) — pan Stanisław siedział pod pantoflem, lecz z mocnem przekonaniem, iż żonie imponuje i to tylko robi co chce. Z pod berła nieboszczki przeszedł, prawie bez interre-

gnum, pod regiment córki ukochanej, akomodował się też i pani Wojskiej Czeżewskiej, tak jak w ogóle przez jakąś wrodzoną ducha opieszałość, skłonnym był zawsze dawać nad sobą przewagę nawet Zybkowi i arendarzowi w Burzymowie. Krzyczał czasem bardzo głośno, objawiał wolę swą stanowczo i dobitnie, bił pięścią w stół, miał się nawet za człowieka surowego, trzymającego wszystkich w rygorze trochę za ostrym — tymczasem śmiano się z niego po cichu i kierował nim kto chciał. Było mu z tem lżej i wygodniej.

Gdy okoliczności zmuszały go czasem do samoistniejszego kroku, znajdował się w najdrażliwszem położeniu; — nie ufał sobie, szukał niespokojnie rady, żądał konfirmacyi, udawał się o nią tam nawet gdzie było najtrudniej wyszukać. — Spowiadał się z biedy Zybkowi, klucznicy, pani Wojskiej, w ostatku chwytając czyjeś zdanie, pierwsze lepsze, byle się zbyć trapiącej go niepewności i nie pozostać odosobnionym z własnem.

Wybór z dwojga był dlań tak trudnym, iż gdy zmuszony był go uczynić, ciągnął potajemnie węzełki, albo w palce stukał. Nie był to brak intelligencyi, bo Burzymowski wszystkie możliwe skutki każdego możliwego postępku obrachowywał szybko i z łatwością, lecz gdy widma następstw stanęły przed nim — nie umiał uczynić wyboru. Panowanie pięknej Sylwii nad miłującym ją ojcem, rozpoczęło się zawcześnie; ojciec

wierzył w rozum jej i zdolności nadzwyczajne jak w ewangelią. Władza jej już teraz była ustaloną i — córka robiła co chciała.

Ona to z Burzymowa, zamiast do Lwowa, zmusiła go jechać do Warszawy, ona pierwsza odgrzebała tę jakąś kolligacyą z Tyszkiewiczami, która ją miała do wyższych sfer towarzystwa doprowadzić. Oprócz tego pamięć pięknej, dowcipnej, bardzo na wielkim świecie znanej pani szambelanowej nieboszczki, było dla Sylwii, wielkie do niej mającej podobieństwo, rodzajem polecenia i pasportu.

O tych marzeniach córki wiedział dobrze Burzymowski, bo mu się z nich spowiadała; niepokoiły go one teraz więcej niż przed tem — zmuszony był im się przeciwić, tamować, a z jedynaczką do boju stanąć, mimo powagi swej ojcowskiej, ani mógł myśleć.

Pobiłaby go zawsze uśmiechem, przymileniem się, pocałunkiem, a naostatek łzami.

Niestety — podobnym był wielce do kokoszy która wysiedziała kaczątko, musiał stojąc nad wodą gdakać tylko na losy.

Przez całą drogę do Warszawy szambelan to się modlił, to drżemał, to różne sobie osnuwał doskonałe plany i projekta.

Rad był wielce mieć do ich spełnienia aljanta w pani Wojskiej Czeżewskiej, ale na to — niestety, czuł że wiele rachować nie było można.

Najprzód że Sylwia wiele jej nie słuchała, a ona jej rozkazywać nie śmiała, powtóre że pani Wojska w formach wyższego towarzystwa tak była rozkochaną, iż poza niemi, olśniona, nic droższego dojrzeć nie mogła. To co one okrywały złem się jej nigdy nie wydawało. Dla Wojskiej sama perspektywa wnijścia we francuski świat Warszawy za pomocą Sylwii, u jej boku, było najwyższem szczęściem. Nie rachowała się z tem czem mogła je okupić, byle się znowu znaleźć wśród grona tych dystyngowanych, utytułowanych pań i panów, których pamięć jak relikwię przechowywała na dnie serca.

Pani Wojska ślicznie mówiła po francusku, w młodości lat kilka spędziwszy z jedną z Lubomirskich w Paryżu. W Burzymowie tylko z Sylwią mogła się posługiwać tym językiem, którym daleko lepiej niż własnym władała, językiem naówczas jak dziś zastępującym wszelkie inne kwalifikacye do salonu.

W czasie do którego się to opowiadanie odnosi, napływ francuskiej emigracyi, dla której sympatya w wyższych sferach towarzystwa była niezmierna, bardziej jeszcze francuszczyznę rozpowszechnił. Gdziekolwiek w salonie znalazł się emigrant francuz, inaczej jak jego językiem odzywać się nie było wolno, a bardzo mało salonów tej ozdoby, o której zdobycie starano się najusilniej, pozbawionych było.

W otoczeniu księcia Józefa, pod Blachą, mówiono, zabawiano się, grywano teatr, pisano *dewizy*, tylko po francusku. Mało domów znajdowało się w Warszawie, w którychby język polski posłyszeć było można gdzieindziej jak w przedpokoju.

U pani Lanckorońskiej kasztelanowej Połanieckiej, u pani z Potockich Wielopolskiej starościny krakowskiej, u Sołtyków i — prawie nigdzie więcej. Dwa czy trzy stare kontusze zostało na całą Warszawę, między innemi ex-koniuszego Kickiego i Badeniego. — Poczciwy Burzymowski, choć szambelan królewski — co podobno zarówno z orderem, winien był wpływowi żony, mówił po francusku nieosobliwie (naprawdę, bardzo źle) i z wielką trudnością. Późno się do tego wziął a do języków w ogóle zdolności nie miał.

Wyśmiewano się z niego nawet, że raz na zapytanie króla, gdy zapukał do jego gabinetu.

— *Qui est lá ?*

Miał mu odpowiedzieć:

— *Je, Chambellan Burzymomski.*

I dla języka więc czysto francuskiego salony Warszawy powabu dlań nie miały. — Obawiał się być wyśmianym jak niegdyś, gdy rozprawiając z p. de Cachè o potęgach europejskich, nazwał je — *les potences de l'Europe.* Wiedział też że w tych salonach zabawiano się w miłostki, snuto nieustannie intrygi, przygotowywano wykradze-

nia, wyzywano się do pojedynków. Wszystko to serce jego ojcowskie napełniało obawą, bo w córce widział jedną z tych piękności, na które dosyć było spojrzeć, aby być oczarowanym.

Przerażała go ta przyszłość, którą on sobie (albo raczéj którą mu okoliczności) zgotowały. Co niepokojów, ile kłopotów i troski, jakiego czuwania potrzeba było, jak wytrawnego oka!

Tymczasem trzpiotek Sylwia ani się domyślała, ni przeczuwała co się w sercu ojcowskiem działo; nie znała świata, nie przewidywała niebezpieczeństw; wyobrażała go sobie pięknym, rycerskim, szlachetnym.

Dojeżdżając do Warszawy, zupełnie już wytrzeźwiony, szambelan przeżegnał się raz jeszcze i odmówił ulubioną koronkę do Przemienienia Pańskiego — duszno mu było, straszno mu było!

Znał to miasto z dawnych czasów, a szambelan Pokutyński zapewniał, że się nic nie zmieniło.

Wojska i Sylwia obie wywiesiwszy się z okien landary, patrzały, napatrzeć się nie mogły, uśmiechały się z radości, ściskały za ręce — szeptały po cichu...

— Warszawa! Warszawa!

III.

Mieszkanie pana szambelana Burzymowskiego, zawczasu dlań najęte w kamienicy prawie obok domu pod Filarami, który naówczas zajmowali państwo Sołtykowie, już przybywających oczekiwało. — Szło panu Stanisławowi o to wielce aby stanąć przyzwoicie, w takiej miasta części, w której się dystyngwowane towarzystwo mieściło. Nie wiedział jeszcze naówczas że się go będzie musiał obawiać. Szczęściem lub nieszczęściem dla niego znalazło się niewielkie pierwsze piętro, osierocone po rodzinie hr. P... która tej zimy po Włoszech podróżowała. Starczyło ono dla Sylwii i przyjęcia kilku gości, bo na wielkie zgromadzenia u siebie Burzymowski się nie gotował. Na dole parę pokoików cale nieosobliwych i dobrze przybrukanych zająć miał dla siebie pan

szambelan, który zbytkiem się brzydził i miał pewne upodobanie w przybrukanych kątach, z któremi się mógł poufale obchodzić.

Jako prawy szlachcic polski lubił módz sobie plunąć gdzie mu się podobało, nie potrzebując szanować posadzki, położyć się w zabłoconych butach, nie oglądając na obicie kanapy, rękę zabrukaną otrzéć na prędce o firankę — słowem, być sobie jak w domu. Właśnie na dole tu czuł się jak u siebie, bo pokoiki niebędąc zbyt schludne, nie wymagały poszanowania.

W drugim szczególniej na sypialnią przeznaczonym Zybek mógł i przez cały dzień nie sprzątać, a Burzymowski mu za to nie rzekł i słowa.

Na górze apartament był świeży i ładny choć niewielki. Sylwia wszystkim była zachwycona, znalazłszy się w tej upragnionej Warszawie. Ściskała ojca, całowała Czeżewską, a gdy się okazał jaki niedostatek (bo w istocie brakło tu wielu rzeczy i sprzętów) zapewniała że się to da później wszystko dopełnić, byle tylko jej samej gospodarować pozwolono.

Wartości grosza ani znała, ani pojmowała jak on ciężko czasem przychodzi.

O pozwolenie gospodarowania zresztą pytać nie potrzebowała. Rozgoszczono się wesoło tegoż wieczora, tylko Burzymowski do swej izdebki spać poszedł z kamieniem na sercu. Pod wrażeniem spotkania opisanego w Jabłonnej, ciągle był

nieswój. Śniło mu się, że się z córką pojedynkował i przebudził się z goryczą na ustach, a niepokojem w duszy. Szło mu najbardziej o to, aby Sylwią do czasu ukryć i zapobiedz wszelkiemu kompromitującemu krokowi, dopókiby on sam gruntu nie zbadał i we wszystkiem się nie rozpatrzył. Musiał się przecie lepiej rozwiedzieć, co to była za jedna ta pani de Vauban, która gospodarowała u księcia pod Blachą, a żyła z Tyszkiewiczami w takiej przyjaźni. Mogli mu córkę pochwycić w towarzystwo niebezpieczne!

Postanowił więc niezwlekając, w imię dawnych swoich stosunków z tym domem, tegoż dnia się udać do pani kasztelanowej Połanieckiej, aby ją prosić o opiekę i radę. Matrona była dostojna. O tem jednak z obawy jakiejś opozycyi, przeciw której słabym się czuł, ani córce, ani pani Wojskiej nie wspomniał.

Odwiedziny były już postanowione, a choć mu brakło przewodnika, któryby go objaśnił kiedy i jak czcigodna pani kasztelanowa przyjmowała, obiecywał go sobie wyszukać.

Z tą myślą wstawszy, natychmiast byłby ją przyprowadził do skutku, gdyby niespodziana okoliczność nie stanęła na przeszkodzie.

Małe rzeczy są często wielkiemi następstwami brzemienne. Zybek, któremu też pilno było do Warszawy, niewiedzieć dla czego, pośpiesznie zapakowując garderobę pana szambelana, piękne

buty safianowe, nieodzownie potrzebne do paradnego garnituru, wbił między inne rzeczy, zdusił, zmiął, pogniótł tak iż się w drodze poprzeciérały.

Szambelan ujrzawszy to ręce załamał i krzyknął.

— A niechże cię jasne — — Trzeba było je oddać natychmiast do restauracyi do szewca, bo zresztą były one nowe, piękne, o jakich drugą parę nie łatwo nawet w Warszawie, a szambelan z wydatkami osobistemi ściśle się rachował. Do paradnego garnituru żadne inne kolorem nie pasowały, a innego garnituru jak ten numeru pierwszego wziąć nie wypadało.

Że zaś właśnie pod tę porę publiczność zeszła była z safjanowych i kardybanowych polskich butów na karbowane i ze sztylpami, Zybek musiał zlatać od szyldu do szyldu Długą, Miodową i Senatorską, nim znalazł *ad hoc* kunsztmistrza, który się podjął kuracyi cholew pokaleczonych, ręcząc iż na nich znaku podróżnéj presyi nie będzie. Burzymowski skazany został przez to na powszedni strój z czarnemi butami i — oczekiwanie.

Gdy się to działo na dole, na górze wybierała się pani Wojska Czeżewska także pospiesznie bardzo do miasta, pragnąc dawne paryzkie i warszawskie znajomości odnowić, a przez nie dla kochanej Sylwii, któréj była posłusznem narzędziem, utorować drogę do wielkiego świata.

I tu o mało, *mutatis mutandis*, nie powtórzyła się historya butów safianowych szambelana, lecz Czeżewska była i szczęśliwsza i zręczniejsza.

Zdawało się jéj jadąc że ubranie we Lwowie niedawno dokompletowane, rzeczami jakoby świeżo z Paryża nadeszłemi, mogło wytrzymać próbę ognia Warszawy. Niestety!

Nazajutrz rano wyjrzawszy przez okno na przechodzące i przejeżdżające do kościoła kapucynów damy, przekonała się iż o cały wiek mody pozostała za jéj najświeższemi pomysłami!

Noszono staniki nadzwyczaj krótkie i wysoko podpięte, kapelusze ze skrzydłami ogromnie naprzód wysuniętemi i — mnóstwo szczegółów niesłychanéj wagi i znaczenia brakło pani Wojskiéj, aby się mogła śmiało pokazać w jednym z tych domów, które stroje wprost sprowadzały z Paryża i nie opóźniały się ani o miesiąc smieszném naśladowaniem tego co nad Sekwaną przypięto, przyszyto, ogarnirowano lub nastrzępiono.

Pobiegła z tém do Sylwij Czeżewska a panna uznała nadzwyczaj słuszném iż Wojska ubraniem zadawnioném, przy pierwszém wystąpieniu na świat, na śmieszność się narażać nie mogła.

Kompromitowałoby to nietylko Czeżewską, ale dom do którego należała.

Natychmiast posłano po powóz i Wojska poleciała zdyszana do pierwszych moduiarek, aby się rozpatrzéć, poradzić i kupić co było niezbę-

dném. Jéj się lepiéj udało niż szambelanowi i Zybkowi z butami, gdyż Wojska umiała dać do zrozumienia w magazynie iż mu korzystną kljentellę z sobą przynosi, jeżeli zostanie usłużoną pośpiesznie. Nie targowała się téż wcale o cenę i około południa mogła ze spokojném sumieniem udać się w odwiedziny, nie kompromitując honoru domu. Wojska miała myśl naprzód, zgodną z Sylwji życzeniem, udać się wprost do pałacu; *Na Górze* (na krakowskiem przedmieściu) gdzie mieszkała pani hetmanowa Tyszkiewiezowa, któréj dom najbliżéj był związany z Blachą, i do najpierwszych w mieście należał.

Lecz postawić krok tak śmiały, potrzebując się pani hetmanowéj przypominać, nie będac pewna, jak zostanie przyjęta? zawahała się Czeżewska!

Niezręczném, napastliwym wkroczeniem w ten świat, można było popsuć wszystko. Do pani Stasiowéj potrzebowała téż kogoś za pośrednika, wolała ją uprzedzić i być wprowadzoną.

Wojska ostrożna — bo może oparzona, postanowiła naprzód grunt zbadać udając się do skromnéj istoty, nie świetne ale wpływowe zajmującéj stanowisko, staréj swéj przyjaciółki, niejakiéj pani majorowéj Habąkowskiéj, o któréj wiedziała, bo z nią korespondowała, że mieszkała w Warszawie od lat kilku. Listy wprawdzie tro-

chę dawno ustały — lecz rachowała na nią, jako na wielce sobie przyjazną istotę.

Z Habąkowską znały się jeszcze dziewczętami, chociaż Czeżewska starsza od niéj była. Wojska owdowiawszy zeszła na rezydentkę w pokrewnym domu, majorowa utraciwszy męża — (legendowego) umiała sobie wyrobić niezależną exystencją.

Jak? czém? trudno to było wyjaśnić, dosyć, że żyła wcale na pięknéj stopie i ludzie się jéj nie ona im kłaniała. Niegdyś bardzo piękna Justysia, późniéj żona jakiegoś majora Habąkowskiego, którego sobie nikt nie przypominał, majorowa umiała w ciągu życia, dzięki rozumowi swemu, dowcipowi i wielkiéj wyrozumiałości dla słabości bliźnich — jak w ogóle bardzo dobremu sercu — że zaskarbiła sobie łaski wszystkich, szczególniéj osób wielkiego świata.

Stosunki z nim utrzymywała starannie, szukała ich, powiększała, wspierała i mogła się pochlubić, że niemajac doń najmniejszego prawa, zyskała w nim obywatelstwo.

Wszystkie hrabine i księżne nawet zwały ją „kochaną majorową“ albo dobrą, poczciwą Jutką; — wszyscy panowie byli dla niéj z pewném uszanowaniem połączoném z przyzwoitą poufałością, witali ją nawet w ulicy zatrzymując się dla rozmowy.

Aby się utrzymać na tym stopniu dobréj przy-

jaźni ze światem mieszkającym w pałacach, jeżdżącym karetami, szafującym pieniądzmi, nawykłym do elegancyi, majorowa Habąkowska, któréj majątek był tajemnicą nawet dla najlepszych jéj przyjaciół — nie małe ponosić musiała ofiary.

Miała na swe posługi przyzwoity powóz, lokaika wystrojonego, mieszkanie dosyć obszerne i urządzone tak aby w niém dostojnych gości na chwilę czasem przybywających mogła przyjmować, nawet gdyby się jedni z drugiemi stykać nie chcieli. Musiała się stroić modnie, i być zawsze gotową czy do zabawy, na któréj się pokazać była zmuszoną, czy do posługi któréj odmówić nie mogła.

Nazywano ją téż — *Chère amie!* a gdy czasem bywała cierpiącą, pani hetmanowa, jenerałowa Grabowska, pani Stasiowa Potocka, Sobolewska i mnóstwo innych pań posyłały się dowiadywać o jéj zdrowie. Majorowa téż wszystkim hrabinom, księżnom, dostojnym paniom, służyła na wszelki sposób. *Honny soit qui mal y pense!* Ona się musiała zręcznie wywiadywać o stanie majątkowym przybywającéj z prowincyi młodzieży, o stosunkach familijnych osób mniéj znanych a chcących grać jakieś role w świecie, zawiązywać i rozplątywać mnogie intrygi, godzić zwaśnionych, waśnić niepotrzebnie, a nazbyt poufale i jawnie zbliżających się do siebie.

Na oko majorowa nie zdawała się mieć ża-

dnego zajęcia, a chwili spoczynku jéj nie dawano. Od rana płynęły do niéj bileciki, przybiegali słudzy i służące, jeździła do modniarek, do jubilerów, do lichwiarzy, stręczyła sługi, wypisywała z Paryża stroje, powoływała z emigracyi francuzkiéj mnogich stręczących się do różnych usług kąndydatów i kandydatki.

Była to osóbka niewielkiego wzrostu, zręczna jeszcze, żywa niezmiernie, niby młoda, mimo że twarzyczkę miała przywiędłą. i mocno życiem zmęczoną. Jednėm wejrzeniem umiała poznawać ludzi, odgadywać myśli, przeczuwać charaktery, a do każdego zastosować się przedziwnie.

Słabostkę ludzką raz schwyciwszy jak nitkę w rękę, kierowała potém marjonetkami na podziw zręcznie. Same one nie wiedziały jak im skakać kazała.

Przy tém majorowa nie wydawała się wcale interesowaną, nie wymagała nigdy nic od nikogo. Dawane przez nią dowody przyjaźni wynagradzały się najczęściéj podarunkami kosztownemi, które przynosiły więcéj niżby na inny sposób żądać i otrzymać było można.

Rozumie się iż przy tak rozległych stosunkach, które z jednéj strony do najwyższych sfer sięgały, z drugiéj zstępowały w mieszczańskie, kupieckie i pomniejsze kręgi społeczne — pani majorowa Habąkowska musiała znać w Warszawie wszystkich i wiedzieć co się gdziekolwiek działo.

Była to chodząca gazeta, w tych czasach gdy właśnie wychodzące w Warszawie, oprócz urzędowych wiadomości i ogłoszeń, jak najmniéj krajowych a żadnych prawie miejskich nie zawierały plotek.

U majorowéj dowiedzieć się było można o wszystkiém, a gdy wypadku jakiego rozwiązananie było wątpliwe — jéj horoskop nigdy prawie nie chybiał. Kto się chciał o co założyć, szedł do niéj po radę.

— Majorowo dobrodziejko, ożeni się ów... z Parysówną czy nie? Chcę się założyć że nie!

— To waćpan przegrasz! odpowiadała majorowa.

I jak powiedziała tak się stalo, pretendent ów z Parysówną się ożenił.

Co dziwniéj nad wszystko, majorowę przyjmowały zarówno i pani de Vauban i hetmanowa i państwo Sołtykowie i gubernator Koehler i Hoym, nawet pani starościna krakowska!

A gdy słuchając jéj szczebiotania i plotek spytała czasem:

— Kto ją rodzi?

Habąkowska sama do szlachectwa starożytnego nie mająca najmniejszéj pretensyi, zawsze umiała objaśnić, i z jakiego kto był domu i jakiemi się szczycił kolligacjami. Pamięć miała nadzwyczajną, genealogie głównych rodzin umiała napamięć, tak że nawet z Potockiemi, niezmiernie rozrodzonemi,

rozgałęzionemi dawała sobie radę bez omyłki; do wiadomości kto rodzi dodając zaraz jakie były expektatywy sukcesyi, testamentów, majątków i kapitałów.

Dóbr ziemskich wszystkich wartość mogła natychmiast powiedzieć, nie chybiając wiele.

Można tedy się domyśleć łatwo jak nieocenioną dla pani Wojskiéj Czeżewskiéj była znajomość i przyjaźń z tą drogą, kochaną Jutką. Nie widziały się z sobą dosyć dawno, ale młodzieńcze stosunki są trwalsze nad inne.

Rachowała na to Czeżewska, gdy z bijącem sercem wysiadła przed wskazaną jéj kamienicą, i weszła na pierwsze piętro.

Tu lokaj w rodzaju liberji skromnéj ale bardzo smakownéj, chłopak choć go malować, oznajmił jéj że pani majorowa właśnie była przy tualecie i prosił aby była łaskawą chwileczkę poczekać w salonie; do którego natychmiast drzwi otworzył i portjerę podniósł.

Majorowa gdy była w domu, przyjmowała wszystkich w ogóle kto się tylko zgłosił, gdyż mając wielką mnogość interesów, niemogła przewidzieć nigdy, kto, z czém i jak ważnym przychodzi. Jak jéj na to czas starczył — to było tajemnicą.

Przewidująca wszystko pani Wojska, miała w rękawiczce na kawałeczku papieru napisane

nazwisko swe i poprosiła chłopaka aby je zaniósł swéj pani. Sama wsunęła się do saloniku.

Było to maleńkie cacko, prawdziwa bombonierka, zarzucona fraszkami, pełna sprzęcików i drobnostek wytwornych. Ani na ścianach, ani przy nich, ani na posadzce prawie, miejsca kawałeczka niemi niezajętego nie było. Przybywający gość zaledwie się mógł z największą ostrożnością w tym labiryncie berżerek, etażerek, gierydoników, stołeczków, stoliczków, tabletek, półek, kanapek, koszyków, przecisnąć.

Na jednéj ze ścian wisiał owalny portret saméj pani, gdy ta jeszcze piękną Jutką była, w białej sukience, w przejrzystéj zasłonce, cudnéj blondyneczki uśmiechniętéj a niby smutnéj, pokuśliwéj, zalotnéj, niebezpiecznéj.

Portret malował Grassi *con amore* (bez przenośni) i stworzył też prawdziwe arcydzieło. Było w niém coś powietrznego, miękkiego, idealnego, a jednak żywy typ nie tonął w obłokach, które się go otaczać zdawały. Swojego czasu sprzeczano się o to, czy to był anioł zstępujący na ziemię, czy szatan na pokusę ludzką zamaskowany.

Na stole i mnogich innych sprzętach chińszczyzny, bronzy, świecidełka, kadzielniczki, flakoniki, wazony ustawione były jak w magazynie u starożytnika, ale nie bez pewnego wdzięku i smaku.

Można się było domyślać, że na ten salonik składały się lata długie i serca mnogie przyjaciół i przyjaciółek, gdyż inaczéj pański dochód roczny na tak kosztowne urządzenie go nie byłby starczył. W dwóch kątach stały naczynia z sewrskiéj porcelany tak ogromne, iż równych sobie nie miały w Warszawie.

Obrazy otaczające portret były téż drogiemi płótnami szkoły flamandzkiej i włoskiéj.

Czeżewska z zachwyceniem się przypatrywała temu zbytkowi, przepychowi i smakowi swéj drogiéj Jutki, świadczącym, jak jéj na świecie dobrze być musiało; gdy usłyszała kroczki pospieszne i nim miała czas obejrzyć te bogactwa, otworzyły się nagle boczne drzwi, a w nich okryta tylko narzuconym naprędce szlafroczkiem, ukazała się na wpół ubrana majorowa, z wyciągniętemi dosyć jeszcze pulchnemi i ładnemi rączkami ku przyjaciółce.

Padły sobie w objęcia i z salonu przeszła pani Czeżewska, pomijając kilka różnych pokoików równie wytwornie urządzonych, do gabinetu tualetowego, zasiadając obok zwierciadła, przed którém piękna niegdyś Jutka stroiła się, podmalowywała, trefiła, reparując

du temps l'irreparable outrage.

Czeżewska mówiła zwykle powoli, z namysłem, cedząc słowa, dodając im wyrazistości mimiką twarzy i rąk; za to majorowéj usta się nie

zamykały. Myśli jéj krążyły szybko po główce a słowa błyskawicą wylatywały i toczyły się z ust wzburzonym potokiem.

— Kochana moja! — zaczęła zaraz, — zkądże ty tu? myślałam, że gdzieś za światem rekollekcye odsiadujesz spokojnie? Jakżeś się tu dostała? Mów! Proszę! Góra z górą! Zrobiłaś mi, mogę powiedzieć, największą w świecie siurpryzę, najmilszą. Przynosisz mi z sobą pamięć drogich dni młodości!

Spojrzała w zwierciadło i na twarzyczkę swoją, którą zwróciła ku Czeżewskiéj, kończąc zmienionym tonem.

— Patrz, proszę cię, jak ja zestarzałam przed czasem! Co to za paskudny ten ząb czasu, którego ślady, niestety, niczém się zagładzić nie dają, gdy serce — serce — ach! starzeć się nie chce i nie umie.

Około oczów, patrz, *ces pates d'oie, abominables!* zkąd się to wzięło? z płaczu czy od śmiechu? Powiadam ci, że nawet i płacząc i śmiejąc się nigdym się bardzo nie krzywiła, starałam się utrzymać na wodzy — a jednak! *Ce que c'est que de nous!*

To mówiąc nie próżnowała majorowa, spoglądała w zwierciadło, na przyjaciółkę, chwytała z gotowalni szczoteczki, tamponiki, flaszki, nacierała i poprawiała coś, przylepiała, smarowała spiesząc się, rzucając, podnosząc instrumenta tua-

letowe, a Wojska patrzała na tę jéj żywość z uśmiechem, w którym było i trochę zdumienia i zazdrości wiele.

Majorowa paplała, rzucając ciągle pytaniami, a nie dając czasu do odpowiedzi.

— Kiedyżeś przyjechała? z kim? sama? Na jak długo?

Zwróciła ku niéj oczy. Wojska sznurując usteczka zabierała się nareszcie do cichéj, powolnéj odpowiedzi. Samo z siebie się rozumie, iż rozmowa toczyła się po francusku.

— Przybyliśmy tu dopiero wczoraj wieczorem Pierwszy krok mój, droga Jutko, był naturalnie do ciebie. Nie przyjechałam sama, przywiozłam z sobą kuzynkę moją, córkę szambelana Burzymowskiego, któréj, mogę powiedzieć, zastępuję miejsce matki — *une enfant adorable!*

— *Attendez!* Burzymowski! Szambelan! A tak! tak! tłusty, okrągły, wesoły, dobry z kościami szlachcic — nawet nie wiem czy ma kości! Chodzi uparcie w kontuszu! Przypominam go sobie! Dawniéj jedni go nazywali *Sztukamięsa*, drudzy *je Burzymowski.* A! już wiem! To ten sam być musi — sypała nie ustając majorowa. — Pamiętam jego żonę, *une beautè, passablement legère!!* Mówiono o niéj dużo! *Enfin!* Ludzie mieli być bardzo majętni... Wszak tak?

Czeżewska wciąż się uśmiechając, a słowa wcisnąć nie mogąc, głową potwierdzała.

— Moja Sylwia — wtrąciła nareszcie cicho — jest cudnéj piękności! Nie powstydzę jéj się. Oprócz tego główka otwarta, życia wiele i pragnienia życia aż nadto!

Majorowa głowę ku niéj obróciwszy słuchała, usiłując odgadnąć więcéj niż w słowach było.

— Cóż z nią myślicie robić? — zapytała. — *La produire ici?*

— Spytaj jéj co ona sama z sobą zrobić zechce? — odparła głos jeszcze zniżając i prawie szepcząc Czeżewska. — Dziewczę śmiałe, swawolne i nikomu niedające się prowadzić! Główka nad wiek! dowcip! przytomność! śmiałość — wszystko...

Gospodyni zdawała się żywo opowiadaniem zajętą, przysłuchiwała się bacznie, zamilkła nawet, aby się dać wygadać przyjaciółce, wlepiając w nią ciekawe oczy.

Czeżewska cedziła daléj powoli, robiąc minki pocieszne, które widocznie bawiły przyjaciółkę. Minki te były reminiscencyami młodości, na bardzo już pomarszczonéj twarzy, dosyć śmiesznemi.

— Między nami — mówiła — przez mamę *nous sommes un peu cousins des Tyszkiewicz*. Rozumiesz? Mojéj Sylwii chce się bardzo wejść w wielki świat i przypatrzyć się zbliska jego splendorom. Czuje się ona stworzoną do niego i ma przeczucie sukcessów, o których i ja nie wątpię.

Majorowa dwuznacznie się uśmiechnęła i ramionami ruszyła.

— Illuzye młodości! — zawołała. — Któż ich nie miał? Cóż z tego ślicznéj, jak łza czystéj, pełnéj sentymentów najpiękniejszych, idealnéj Tereni Kickiéj, że się książe Adam w niéj kocha? Czy mu księżna jenerałowa pozwoli się z nią żenić? Sukcessa pięknych panien na arystokratycznym świecie są tego rodzaju,. lub (uśmiechnęła się złośliwie) lub, zdobywa się serce, traci sławę i pokutuje za chwilę słodkiego marzenia...

Mimowolnie jakoś z pod serca wyrwało się to majorowéj, która wnet się poprawiła.

— *Après tout*, zawsze trzeba szczęścia próbować! Dla takiéj jak ty powiadasz, ślicznéj osóbki wziąć szlachcica w kozłowych butach, którego zawsze czuć albo bigosem lub czosnkiem lub obojgiem, to nader smutna ostateczność.

Czeżewska słuchając cierpliwie nie zdawała się w zupełności podzielać zdania przyjaciółki, nie odpowiedziała więc na nie, i gdy ta zamilkła, ciągnęła daléj.

— Nie dałaś mi dokończyć, droga moja! O ile córka pragnie zajrzéć po za tę tajemniczą wielkiego świata zasłonę, o tyle ojciec, nasz szambelan obawia się jego zasadzek i szkopułów. Zna je z dawnych czasów.

— *Il en sait quelque chose!* — szepnęła majorowa.

— Zdaje mi się, że myśli — ciagnęła dalèj Czeżewska — dla córki inne znaleść koło. Dzisiaj miał być podobno u pani kasztelanowéj Połanieckiéj. *Entre nous*, nie zdradź mnie, idzie nam trochę o to, abyśmy go uprzedzili.

Mrugnęła znacząco na przyjaciółkę.

— *A bon entendeur, salut!*

Gospodyni, która właśnie zaczęła się była sznurować, bo o kibić, jedyną nienadwerężoną pozostałość przeszłości niezmiernie była troskliwą; parsknęła śmiechem suchym, jednym z tych śmiechów, co się nie z wesołości rodzą ale z potrzeby, aby zastąpiły słowo. Śmiała się oparłszy na gotowalni.

Czeżewska przerwała mowę.

— *Ah! la bonne, la respectable Połaniecka!!* Ale cóż taka dziewczyna żwawa, jak ty ją opisujesz, u czcigodnéj téj matrony robić będzie? Chyba razem z nią pończochę? Wiesz, że Połaniecka nigdy bez pończochy nie stąpi, nawet ją tak wymalowali! U pani starościnéj Wielopolskiéj mogłaby złoto dryzlować... U Lanckorońskiéj jeżeli się za jéj kuzynkami Szymanowskiemi i Swidzińskiemi dociśnie, będzie albo pieski głaskać, lub, jak mówiłam, pończochę robić, siateczkę wiązać. A! pardon, dwa razy na dzień jest nabożeństwo...

— A! moja najdroższa, — przerwała Czeżewska ciągle się jednocząc z kuzynką, — m y, wcale

do pończochy i nabożeństwa dwa razy na dzień nie jesteśmy stworzone. Przyjdzie to w swoim czasie, ale teraz!

Zrobiła minkę figlarną.

— Radabym bardzo, abyś ty ją zobaczyła, poznała i swojém badawczém okiem oceniła tę istotę. Bądź co bądź, zobaczysz, pospolitą nie jest. *Elle n'est pas la premiere venue!*

Nastąpiła chwileczka wytchnienia, majorowa skorzystała z niéj aby głos odzyskać i daléj ciągnąć rozmowę.

— Poznam ją bardzo rada, i powiem ci szczerze jak ją znajdę. Ja, nie chwaląc się, mogę spojrzawszy, prawie nieomylnie odgadnąć przyszłość! Ładnych pań i dziewcząt mamy podostatkiem, począwszy od téj anielskiéj Tereni, o któréj wspominałam, a która pewnie uschnie starą panną, mamy Wielhorskę nieszczęśliwą, bo sentymentalną nadto, Cichockę, Trembickę, Stasiowę — wszystko to stanowi świetny nasz dwór pod Blachą, a innych mnogich gwiazdek drugiéj wielkości nie liczę! Śliczny to wieniec twarzyczek i postaci! Z tém wszystkiém młodzieży jest tyle, że jedną więcéj ładną panną *ce n'est pas de refus!* Przyda się nam! Proszę cię samych Potockich co tu jest? Antoni, Marcelek, Michaś, Aleksander.

— A! moja droga Jutko, — odezwała się Czeżewska, — my bo tak wysoko nie patrzymy! Na

dziś mowa tylko o tém, jak się pokazać i dać poznać a zabawić.

— A, *ma chère,* — odparła majorowa, — patrzyć zawsze potrzeba jak najwyżéj, ażeby późniéj módz sobie wyszukać, choćby jak ja, jakiegoś majora, *un pis aller* i skończyć przyzwoicie tę głupią komedyę życia. Gdyby się zaczynało od majora, na czémżeby się skończyło?

Westchnęła, rozśmiała się i nie czekając odpowiedzi Czeżewskiéj, ciągnęła daléj.

— Więc, jasno sobie zdajmy naprzód sprawę z położenia. Panna piękna, dobrze wychowana, dowcipna, żądająca świat poznać i zajrzyć *Na Górę* i *Pod Blachę*. 2do Kochany tatulo bojaźliwy, skromny, radby kwiatek swój posadzić w cieniu matron i pod opieką wysokich dygnitarzy duchownych.

— Ale, powiadam ci, córka zrobi co zechce! przerwała Czeżewska, — to nie ulega wątpliwości. Jestem tego pewną; dosyć jéj będzie najmniejszéj zręczności, pozoru, pretekstu! Papa nie jest okrutnym, da sobie wmówić co my zechcemy. *Il est de bonne composition.*

— No, a ja mam wam pomagać? tak? nie? — wtrąciła majorowa.

— Czekaj, ja cię jeszcze o to nie proszę, — rzekła Czeżewska, — choć wiem, że my się bez ciebie nie obejdziemy. Ja przybyłam dziś tylko

uścisnąć cię, wyspowiadać się przed tobą, *a coeur ouvert*, polecić siebie twéj protekcyi — a potém...

Majorowa rzuciła grzebyk i nagle się zwróciła ku niéj.

— Wiesz ty co? Wszak twoja panna musi być w domu?

— Dziś my nie wychodzimy nigdzie, chyba może do teatru.

— Do jakiego teatru? — śmiejąc się podchwyciła majorowa. — Na włoską operę pani Delicati chyba wy pójść możecie, bo nam *Matrimonio secreto* już się przez uszy przelało.

— Wszak jest Bogusławski! — spytała wojska. Gospodyni znowu śmiać się zaczęła swoim sztucznym śmiechem suchym.

— Ale któż przyzwoity chodzi na polski teatr Bogusławskiego? Szewcy i krawcy. Zresztą, jeśli chcecie, *c'est pour papa*, nie dla was! *au nom de Dieu!* Toby was odrazu najokropniéj skompromitowało! *le plus mauvais genre!* Kogobyście tam spotkać mogli? W najlepszym razie dwóch młodych Sapiehów, którzy tam chodzą na złość nam.

Nasz zaś teatr *de Société*, nasz, powtórzyła Habąkowska, — dziś nie gra.

— A zatém dziś w domu siedzieć będziemy — odezwała się wojska.

— Otóż ja ci chciałam proponować, — spiesznie podchwytując kończyła majorowa, — chcia-

łam ci proponować, gby z moją tualetą będę gotową, abyś mi się pozwoliła odwieźć do domu. Ja będę gotową, *tirée à quatre epingles*, za pięć minut. Przypomnę się przy téj zręczności poczciwéj sztukamięsie, powącham waszego kwiatka i — powiem ci potém otwarcie, co i jak z nią poczynać mamy.

Jeżeli twoja kuzynka okaże się tego warta, o czém nie wątpię, to ją zaakaparujemy do nas pod Blachę i Na Górę, a nie — odprawiemy ją do pończochy pani kasztelanowéj. Kto wie? Jeżeli ma dużo dowcipu, a Anetka ku niéj nie poweźmie zazdrości, dostanie towarzyszkę, przyjaciółkę nieocenioną. Ale Anetka łatwo bywa zazdrosną, a złośliwa jest i dowcipna — bardzo! bardzo!..

Czeżewska za całą odpowiedź z uniesieniem ją uściskała, co groziło świeżo ukończonéj toalecie.

— Jesteś nieocenioną! nieoszacowaną! — zawołała. — Jedź ze mną, mam powóz, zawiozę cię.

— *Allons donc!* — trochę szepleniąc odparła pani majorowa, — ty sobie możesz swoją dryndę odprawić, a ja ci ofiaruję *mój — ekwipaż!*

Powiedziawszy to z przyciskiem, uśmiechnęła się i dygnęła.

— *Vous voyez! On ne se mouche pas du pied?*

Wojska westchnęła.

Tymczasem niezmordowana gosposia już za-

bierała do kieszeni niezbędne dodatki na wyprawę do miasta: flakoniki, chusteczki, pugilaresiki, różne tajemnicze bombonierki, z pastylkami na wszelkie wypadki. Spieszno jéj widać było, bo zarazem wydawała rozkazy służącéj, wołała o konie, drapowała przepyszny szal na ramionach, przeglądała się w zwierciedle i uśmiechała do Czeżewskiéj.

Czuć w niéj było temperament kobiety. która całe życie spieszyć musi, nawet gdy nic do czynienia nie ma.

Wojska, która była do zbytku powolną i namyślającą się, zachwycała się tą żywością, przypatrywała się przyjaciółce z uwielbieniem.

— Kochana Jutko! i ty mówisz żeś się zmieniła. Gdzież tam! Zawsze jesteś tą samą, pełną żywości, dowcipu, przytomną, czynną, piękną, zachwycającą.

— Dziękuję! — odparła majorowa, — ale bez tego życie byłoby gniciem! Trzeba się ruszać, aby nie postarzeć! Zmuszona siedzieć w kątku na kanapie z pończochą lub założonemi rękami, czuję żebym umarła!

Piękny lokaik pani majorowéj dał znać w téj chwili, że konie były gotowe i dwie przyjaciółki wyszły razem.

Czeżewska siadła do karetki, a powozowi najętemu kazała jechać za sobą.

IV.

Szambelan właśnie się przed wiszącém u okna lusterkiem golił, gdy karetka majorowéj stanęła przed kamienicą, a że zobaczywszy ją, przestraszony nie okaleczył się niebezpiecznie, istna była łaska Boża. Ręka mu się zatrzęsła i pojechała po brodzie aż pod gardło. Czuł że ekwipaż ten nie mógł zajechać do nikogo, tylko do pierwszego piętra; uląkł się tych odwiedzin paradnych. Wyjrzał oknem i przeczucie się potwierdziło, gdy ujrzał Czeżewskę wysiadającą z karetki z nieznajomą jakąś damą.

Powóz i konie wyglądające bardzo elegancko, kazały się domyślać osoby dystyngwowanéj.

Z gorączkowym pośpiechem kończył rozpoczęte golenie, i drżącą ręką zaciął się kilka razy. Szczęściem kawałek bibuły był pod ręką, poza-

lepiał na prędce rany i z pomocą Zybka, na którego krzyczał niemiłosiernie, jak gdyby ón wszystkiemu był winien, wczas jeszcze potrafił przywdziać suknie, nim majorowa wyjechała, i stawił się na górę. Prawda że niektóre szczegóły ubrania wiele zostawiały do życzenia, ale szło mu o to wielce aby się naocznie przekonać, kto mógł z Czeżewską przybyć do córki. Spieszył się z młodzieńczą niecierpliwością.

Sylwia była już ubraną, a strój jéj choć dosyć skromny, dziewicze wdzięki podnosił. Suknię miała ciemną, odżywioną karmazynową przepaską; druga podobna wstęgą przedzielała na wpół, wysoko podpięte włosy bujne. Biały kołnierzyk na szyi i chusteczkę miała w ręku, ale jéj w tém było tak pięknie, że wielka znawczyni niewieścich wdzięków, majorowa spojrzawszy na nią, stanęła zdumiona.

Przybrała zaraz ton poufały i przyjacielski, który był dobréj wróżby. Panna widocznie miała wielką przyszłość przed sobą.

Po pierwszém przywitaniu Habąkowska, jakby mimowolnie odezwała się półgłosem do przyjaciółki.

— *Mais elle est adorable!*

Posłyszawszy to Sylwia, się zarumieniła. Od rana już była Warszawą widzianą z okna, rozgorączkowaną.

— Cóż Warszawa? podoba ci się? zapytała przybyła — nieprawdaż że po Paryżu, to pierwsze miasto na świecie!

— A! czyż ja mogę powiedzieć żem ją widziała? — poczęła Sylwia wesoło, — mam tylko jéj przeczucie i pragnienie. Po naszéj wsi cichéj, spokojnéj, jak się to tu inaczéj wydaje wszystko! Ile życia, nawet na ulicach, jaki ruch, jaka orzeźwiająca wrzawa!

— Gdy się temu z blizka przypatrzysz — zawołała Habąkowska, jeszcze ci się to więcéj podoba. Zobaczysz jak świetne mamy salony, jakie zabawy wytworne i dobrego tonu, co za stroje gustowne, jak miłe, uprzejme i doskonałe towarzystwo! A! ja to zawsze powiadam, kto nie może w Paryżu, powinien żyć w Warszawie, gdzieindziéj się wegetuje — nawet z prusakami brudnemi, których bardzo nie widać, tu się żyje. A! Warszawa jest najmilszą w świecie!

— Niechże kochana pani, nie rozłakamia mnie na nią, odezwała się Sylwia, od niechcenia przyglądając się sobie w zwierciedle — bo, kto wié, jak malutką cząsteczkę jéj poznać mi będzie wolno.

— *Allons donc!* — przerwała z oburzeniem majorowa, — żartujesz sobie, pani moja, będziesz ją znała i miała całą, ona ci się pięknie u twych nóżek położy!

Zapłoniona znowu uśmiechnęła się Sylwia, gdy wtém hałaśliwie, nagle drzwi się otworzyły, i z twą-

rzą pokiereszowaną od brzytwy, niepomiernie zaczerwienioną, zadyszany, z oczyma zaognionemi wpadł szambelan jak bomba.

Spojrzał na majorowę ale jéj nie poznał, nie poznał, nie mógł sobie przypomnieć; z przesadzoném więc uszanowaniem zbliżać się począł do figlarnie uśmiechającéj się Jejmości, która mu dygała z daleka.

— Panie szambelanie, czyż to może być ażebyś pan dawnéj swéj przyjaciółki nie poznał? Czyż lata ubiegłe, takie *raważe* na twarzy méj by zostawić miały?

Zakłopotany niezmiernie szambelan spoglądał błagająco ku Wojskiéj, aby go poratowała, nie miał bowiem wyobrażenia, kto być mogła ta przyjaciółka! Czeżewska spiesznie na ucho podszepnęła mu jéj nazwisko, ale to wprawiło go w jeszcze większe zakłopotanie. Znaczenia tego nazwiska, stanowiska majorowéj w spółeczeństwie nie mógł na żaden żywy sposób sobie przypomnieć... Była dla niego zagadką.

W nadziei że dalsza rozmowa objaśnić go może, przysunął się starym obyczajem do ucałowania pulchnéj rączki, śmiejąc się niby wesoło, ażeby ukryć pomięszanie.

W duszy mówił sobie:

— Niech pęknę jeśli wiem co to za majorowa! Nigdy w życiu podobnéj majorowéj nie spotka-

łem! Przyjaciółka moja! — Nigdym takich przyjaciółek nie miał.

Habąkowska już z nieprzebranego zapasu gotowych frazesów, który zawsze miała na posługi, zaczęła żywo sypać na osłupiałego szambelana.

— Jaki to z kochanego szambelana ojciec przykładny! Prawdziwie za wzór drugim! Na karnawał z pode Lwowa do Warszawy! To się nazywa znać świat i kochać swe dziecię! Czyżby się godziło tak śliczny kwiatek trzymać w ukryciu i dać mu smutnie więdnąć w cieniu, między parafianami!

Wskazała śmiejąc się na Sylwię, która wdzięcznie, czule spoglądała czarnemi oczkami na majorowę.

Burzymowski coraz w trudniejszém był położeniu, czuł, że na te pochwały nie zasługiwał, niewiedział co miał odpowiadać. Śmiał się już tylko tym właściwym sobie rodzajem rubasznego śmiechu, hałaśliwego, który tak samo jak śmiech majorowéj był dlań wygodną wstawką w rozmowie, gdy wyrazów brakło, odpowiedź była trudną, a odezwanie się koniecznem.

Śmiali się teraz tak właśnie oboje, sami niewiedząc z czego, a Burzymowski w duchu sobie ciągle powtarzał.

— Co za majorowa? jaka u licha majorowa? *quo titulo* ona się tu zjawiła nimeśmy się rozpakowali? Boże mnie skarz, o kobiecie téj wyobra-

żenia nie mam! Majorowa! Co za majorowa! Bąkowska? Bąkowska? Nierozumiem!

Habąkowska ze zwykłą swą gadatliwością, trzepała dalej niezmięszana wcale wejrzeniami szambelana, w których się jego osłupienie malowało.

— Bardzoście państwo szczęśliwie trafili, Warszawę znajdujecie niezmiernie ożywioną, domów otwartych mnóstwo, wszelkich stopni i rodzaju, do wyboru dla każdego smaku.

Premier choix, qualitè superfine, Blacha, pani hetmanowa, Na górze, jenerałowa Grabowska, Kicka, Potoccy, Chreptowicz, dalej ciche i spokojne ustronie starościnéj krakowskiéj, kasztelanowéj Połanieckiéj, Małachowskiego, Czackich...

Szambelan roztargniony, wciąż pod naciskiem téj myśli, jaka to była majorowa, z nogi na nogę przestępując, niekiedy przebąkiwał półgłosem —

— Tak! tak!

W duchu jednak zaprzątnięty był zadaniem. Jaka u licha majorowa?

— Cóż za familjantka? Kto ją rodzi? Na śmierć zapomniałem! Musiała chyba męża i tytuł odmienić.

Posłyszawszy wyliczanie tylu domów, Burzymowski się w końcu nastraszył i odezwał jąkając nieśmiało.

— My, bo pani majorowo dobrodziejko — my, bo — jesteśmy cichej wsi mieszkańcy, domatorowie, do wielkiego świata nie nawykliśmy i nie piszemy się.

— Ho! ho! — przerwała mu Habąkowska. — Cóż to pan szambelan zbytnią skromnością się tak deprecjujesz! Znałam przecie nieboszczkę żonę jego, pamiętam jéj stosunki, domatorką wcale nie była!

Burzymowski zdumiał się jeszcze bardziéj posłyszawszy o żonie swéj wzmiankę.

— Cóż to jest u kata? — mówił w duchu — i żonę moją znała? Co to jest? Jakato może być majorowa?

— Sylwia moja, wtrącił nieśmiało, jeszcze jest tak młodą!

— A pan byś ją dopiero podstarzałą chciał pokazać światu? rozśmiała się wesoło przybliżając ku niemu natarczywie majorowa. — Wstydźże się pan téj zazdrości rodzicielskiéj! Choćbyś pan jéj nam niechciał dać, my ją gwałtem porwiemy! Ona należy do tego świata, którego będzie najpiękniejszą ozdobą!

W téj chwili zegar na kominie stojący syknął i zaczął wybijać dwunastę, Habąkowska skoczyła jak oparzona.

— A! co ja słyszę! dwunasta! już dwunasta — zawołała z przestrachem. Dałam słowo pani hetmanowéj i Anecie, że o południu, *juste*, będę na Górze! A! *pardon*, spieszyć muszę!

Zaczęła się prędko kłaniać, dygać, ściskać, Czeżewskiéj coś szepnęła do ucha i zabrała się do wyjścia. Burzymowski choć dotąd na żaden

sposób przypomnieć sobie nie mógł, ani kto ona była, ani kto ją rodził, ze staroświecką galanteryą, zaokrągloną podał jéj rękę, postanawiając odprowadzić do powozu, bo tak mu grzeczność, któréj nigdy nie chybiał, nakazywała.

Gdy sam na sam znaleźli się na wschodach, Habąkowska zwróciła się ku niemu.

— Bez pochlebstwa, kochany szambelanie, — rzekła cicho, — córkę masz tak śliczną, tak śliczną, iż równéj jéj, nawet tu u nas, gdzie wszystkie gwiazdy się zbiegają, znaleźć trudno.

Ma w sobie coś tak uroczego, niewysłowienie miłego, naiwnego, że nam tu wszystkim naszym kawalerom pozawraca głowy, bodaj tylko starszym pardonowała!

Szambelan przyciśnięty do ściany, bo wschody były wązkie, śmiał się, choć pochwały te brzmiały mu jak groźby, truchlał strwożony.

— A, pani dobrodziejko — rzekł dławiąc się — dla ojca sukcessy takie, to większa troska niż pociecha.

Habąkowska odpowiedziawszy mu raz jeszcze tym samym swym zdawkowym śmiechem, którym się często posługiwała, wsiadła nareście do karetki, szambelan skłonił się drzwiczkom i stanął zadumany.

— Cóż to za licho ta utrapiona majorowa, taka fertyczna? Przyjaciółka domu, któréj ja ani znam ani wiem, ani się domyśleć mogę? Język

jak na kołowrotku! sama jak fryga, a pachnie aż śmierdzi! i wystrojona! ki djabeł! — Znała mnie i nieboszczkę żonę! majorowa? W życiu żadnéj takiéj nie znałem! Zkąd data! przyjaciółka?

Poszedł coprędzéj na górę dla wyjaśnienia tajemnicy. Córka i Wojska Czeżewska, spodziewając się go, oczekiwały.

W progu zaledwie stanąwszy, odezwał się niespokojnie do Czeżewskiéj.

— Toś mnie waćpani, moja dobrodziejko, ułowieniem téj ryby nabawiła kłopotu. Boże mnie skarz, nieznałem nigdy, nieznam żadnéj majorowéj, ta mi się wpiera jako przyjaciółka! Gdzie? co? Zkądże się tu wzięła?

Przeżegnał się.

— Klnę się asińdzce, głowa mi pęka, nic sobie przypomnieć nie mogę. Habąkowska powiadasz? — Nazwisko osobliwszego autoramentu. — Jakże z domu? może ją panną znałem? kto ją rodzi?

— A! mój Boże! przerwała obrażona Czeżewska — jak bo pan szambelan masz krótką pamięć? — majorową zna przecie cały świat! To jest ta, którą zwano piękną Jutką.

Szambelan stał zapatrzywszy się w podłogę i dumał.

— Jutka! No — zabij mnie jéjmość, niepamiętam. Jestem jak w rogu... O żadnéj pięknéj ani brzydkiéj Jutce nic nie wiem.

— Z domu Mydłowska, — zniecierpliwiona i z przyciskiem odezwała się Czeżewska — Mydłow—ska!

— Boże mnie skarż, o tém mydle nigdym nie słyszał! ramionami ruszając, — rzekł stary: Mydłowskich szlachty niema na świecie...

— Ależ to przecie osoba całéj Warszawie znana, poważnie i dydaktycznie poczęła Wojska, okazując jak była dotkniętą tém lekceważeniem przyjaciółki. Słyszał pan szambelan że wprost ztąd pojechała do pani hetmanowéj, a tam przecie lada kogo nie przyjmują! Jest to moja przyjaciółka od młodości!

Szambelan głową potrząsał i odezwał się cedząc przez zęby.

— Wszystko to być może, ale żeby ona, jak afirmuje, moją kiedy przyjaciółką była, albo nieboszczki, o tém się nam ani śniło!

Sylwia zaczęła się śmiać wesoło.

— Tatuś bo kochany pamięć stracił, — odezwała się zbliżając doń i rękę mu kładąc na ramieniu. — Majorowa niezmiernie miła, żywa, serdeczna osóbka, podobała mi się bardzo! Taka jestem szczęśliwa, że ją poznałam! Tak z nią jakoś łatwo, przyjacielska — uprzejma...

Burzymowski potarł głowę.

— Hm! ja tam tego — tak dalece nie znajduję..., szepnął cicho — bo — bo.

— Bo co, kochany tatku? — zapytała córka przymilając mu się.

Czeżewska zarumieniona, urażona widocznie, nadąsana, w okno patrzała.

— Bo — bo — odezwał się stary zbierając na odwagę — bo — w téj tu Warszawie, jaka ona tam jest, należy być wielce oględnym, grunt rozpatrywać, badać, namyślać się dobrze niżeli się krok postawi.

Otóż ta pani majorowa, któréj ja nie ujmuję, choć z domu Mydłowska — zaraz z tąd wyjechawszy, roztrąbi i rozbębni o pięknéj panience przybyłéj z prowincyi, ludzi zaciekawi, zechcą nas dla swéj satysfakcyi ciągnąć tam i sam, gdzie ja (otwarcie powiedziawszy) — tu głos podniósł i ręce uroczyście rozstawił — otwarcie powiedziawszy, możebym sobie mojéj panny wprowadzać nie życzył.

— Ależ, mój ty surowy tatku — na pół śmiejąc się, w pół strwożona i podrażniona poczęła panna Sylwia, któréj téż wystąpienie ojca wobec Czeżewskiéj było niemiłém — dlaczegożbym ja, panna szambelanówna nie miała czy nie mogła tam bywać, gdzie cały tutejszy świat i najlepsze towarzystwo uczęszcza?

— Hm! dla tego — odparł stary poprawiając włosy i budząc w sobie męztwo, którego nie miał — dlatego że ja ojciec asindzki — (tu się za-

trzymał i dokończył żywo), że ja mam ku temu słuszne powody!!

Odchrząknął.

— I — basta!

— A te powody, są? — spytała Sylwia łagodnie, gdyż nadto była pewna wygranéj, aby ją bardzo ustraszać miało co ojciec postanowił.

— Moja kochana — odezwał się Burzymowski, są powody, z których ja ci się na teraz tłumaczyć nie mogę.

— Dlaczego? cierpliwie ale nie ustępując nalegała córka.

Burzymowski patrzał na nią długo i — dumał. Zebrał się wreście na odpowiedź.

— Dla tego, moje dziecko, — rzekł, że w twoich latach lepiéj jest wielu rzeczy nie znać i o nich nie wiedzieć..

Argument był słaby...

— Przepraszam tatkę, — odezwała się Sylwia — mnie się to wydaje inaczéj. Ja właśnie przez niewiadomość tych rzeczy zatajonych mogłabym pobłądzić, zatém zdaje mi się lepiéj żebym o wszystkiém wiedziała zawczasu.

Wojska niechcąc się mieszać do téj rozmowy, stała na uboczu, patrząc to w okno, to na swą wychowankę. Sylwia uśmiechając się łagodnie do ojca, męczyła go piekąc na wolném ogniu swemi pytaniami. Burzymowski zamilkł, tarł wąsy.

— Tatku, — ciągnęła daléj córka. — Ile ja

mam lat, wiesz tak dobrze jak i ja, ty byś mi ich rad ująć, ja bym ich sobie chciała dodać. Dla kobiety, proszę tatka, to jest już wcale piękny wiek, jak tatka kocham. Mogę więc już wiedzieć niektóre życia tajemnice, daję ci słowo, jak mi powiesz, zrozumiem, a jak pojmę, posłucham.

Stary westchnął oczy podnosząc ku niebiosom, jakby w nich zmuszony był szukać ratunku.

— Dajże ty mi pokój ze swoim rozumkiem — odezwał się błagająco. I wnet zmieniając głos dodał.

— Powiem ci tylko, że niewyłuszczając powodów, dla których wybór zrobię tych a nie innych domów, w jakich bywać mamy — mogę zaręczyć, iż ten wybór mój będzie najlepszy, a domy najpierwsze i najdystyngwowańsze... Mogę ci i za to zaręczyć, że ani przez skąpstwo, ani dla osobistej niechęci nie wyłączę nikogo...

— Domy najdystyngwowańsze — podchwyciła Sylwia — to będą dla tatka pewnie te, w których odmawiają pacierze, pończochę robią i wzdychają do niepowrotnej przeszłości, nieprawdaż tatku? Domy, w których bywają księża Biskupi, staruszkowie łysi i siwi? a jak najmniej młodzieży i nigdy śmiechu?

Ale w takim razie, tatku, pocóżeśmy do Warszawy jechali? Ja, przyznam ci się, chciałabym się trochę zabawić...

Zniecierpliwiony, nieszczęśliwy Szambelan darł czuprynę.

— Bądźże spokojna — zawołał — wszystko się znajdzie, i przyzwoita zabawa i trochę skoków i śmiechu, — *ale* —

— Ale — podchwyciła córka.

Burzymowski niemogąc już dłużej examinu wytrzymać, ruszył ramionami i miał się ku drzwiom. Córka drogę mu zastąpiła, rozstawując szeroko ręce.

— Mój tatku, — rzekła pieszczotliwie — ty zwykle dla mnie taki dobry, dziś jesteś prawdziwie nie do ugryzienia. Chyba już swojej Sylwki nie kochasz. Nie chcesz być ze mną otwartym, traktujesz mnie jak małe dziecko... Fe!

Czyżby te nieszczęśliwe buty tak ci humor popsuły?

Na wspomnienie o butach drgnął szambelan.

— No, no — odezwał się łagodząc — zobaczysz, bądź cierpliwa, wszystko się dobrze ułoży, będziesz kontenta. Z niczem tylko zbytnio się nie trzeba śpieszyć.

— Mnie bo się zdaje tatku, — sprzeciwiła się Sylwia — że z niczem nie potrzeba się opóźniać.

Burzymowski nie widział już innego ratunku jak odwrócić rozmowę.

— Cóż to za teraźniejsza młodzież? — rzekł — Micio u ciebie, no i u mnie dotąd nie był?

Sylwia obojętnie główką potrząsnęła.

— A pisałem do niego wcześnie, kiedy przybyć mamy, — mówił szambelan — ażeby się tu zaraz stawił na twe usługi. Poczciwy, dobry z kościami chłopak, a mimo przywiązania do nas pobałamucił i nie ma go do tej pory. Chyba listu nie odebrał.

— Zapewne że musi nie wiedzieć o przyjeździe naszem — odpowiedziała Sylwia lekko się zarumieniwszy — inaczej ręczę, że byłby się przystawił.

— Od niegobym był mógł zasięgnąć wiele potrzebnych informacyj, — ciągnął dalej stary — wiem że Micio tu jest bardzo dobrze położony, że bywa u Sołtyków, u Chreptowicza, jeździ do Skierniewic do księcia prymasa, zna tu wszystkich, wie o wszystkiem.

Czeżewska uznała właściwem wtrącić swoje trzy grosze, i rzekła z przekąsem.

— Ale w wielkim świecie wątpię, żeby bywał!

— A gdzież większy świat być może, jak u księcia prymasa? — spytał złośliwie szambelan.

— Elegancki świat przecież gdzieindziej, to wszystkim wiadomo! — odcięła się Czeżewska.

— I o tym elegnackim, jak go asindzka zowiesz, wie on pewnie co wiedzieć potrzeba — odparł Burzymowski.

— Micio Grabski, chybaby był chory, inaczej

będzie z pewnością nie dziś to jutro — dodała Sylwia.

— Niech Bóg uchowa, żeby chory mial być — zawołał szambelan — ja go kocham jak syna. Tu przerwawszy mowę, przeszedł się stary po pokoju i na pociechę paniom dodał jeszcze.

— Ja tymczasem nie próżnuję, i spełniam moje obowiązki. Zamówiłem już powóz, gdyby go była potrzeba, bardzo przyzwoity, Danglowski ale świeży...

— Co tu są za śliczne zaprzęgi — zawołała Sylwia ożywiona nagle. — Ja już siedząc w oknie dwa widziałam, o jakich mi się w życiu nie śniło. Służąca mi mówiła, że pierwszy z nich, cug tarantów jest księcia prymasa, a druga gniada czwórka z postrojonemi postylionami, ma być księcia Józefa.

Stary się rzucił.

— I ty go już widziałaś?

— A! nietylko ja go widziałam, — odpowiedziała Sylwia z naiwnością dziecięcą — ale i on mnie zobaczył. Tak mi się przypatrywał, żem się aż od okna cofnąć musiała zażenowana...

Wyobrażałam go sobie daleko starszym, — szczebiotała dalej — wygląda wcale młodo i bardzo, bardzo dystyngwowany. Ma w rysach coś tak szlachetnego, twarz tak miłą, tak smutną, oczy tak wyraziste.

W czasie gdy Sylwia z wielkiem zajęciem

opowiadała o księciu Józefie, Burzymowski stał z głową spuszczoną, posępniejszy coraz.

Długo nie mógł odezwać się ani słowa.

— Pch! — rzekł w końcu — stary bałamut, ma już lat około czterdziestu... Ale tak! Pamiętam go młodym i pięknym w czasie sejmu czteroletniego i po kampanii 1792 r., ale to już temu latek kupka, a żyło się żwawo i z niejednego roku dwa zrobiło!

Zachmurzył się mocniej jeszcze i dodał.

— Ale, moja Sylwko Sylfido! ciekawość ciekawością, hm! czyż godzi się tak oknem wyglądać, żeby się aż dać widzieć? To mi się zdaje — nieprzyzwoicie!

Sylwia się rozśmiała wesoło.

— Oknem wyglądać, nieprzyzwoicie? tatku?

— A tak, oknem wyglądać, — potwierdził Burzymowski — zwłaszcza gdy przejeżdża taki bałamut, któremu lada młode oczki zawracają głowę,

— Tylko nie moje! — przerwała Sylwia.

— Jeszczeby tego chyba brakło na moją biedę! — odezwał się szambelan. — Niech nas Bóg uchowa i strzeże.

Czeżewska z tyłu stojąca, słuchając rozmowy ramionami ruszała. Sylwia śmiała się z nieopatrznością dziecięcia, szambelan burczał.

Pani Wojskiej wreście, to co nazywała prze-

śladowaniem ojca uprzykrzyło się — i wtrąciła głosem słodziuchnym, ale stanowczo.

— Pan szambelan ma czasem jakąś przyjemność tę biedną Sylwkę morałami udręczać! Słowo daję! Widzi pan, że ją to irrytuje.

Burzymowski zmiękł zaraz, trochę się nastraszywszy.

— To się tak gada, aby się coś gadało, — zawołał — nic znowu jej tak bardzo przykrego nie powiedziałem.

Przystąpił do Sylwii.

— Przepraszam cię, rybko moja, starzy jak ja zwyczajnie gdérać muszą, ale z przywiązania i dobrego serca.

Córka pośpieszyła go uściskać.

— Kochany tatku, — rzekła — ja ani się nie dziwuję, ani przykrzę tem, co tatko mówi, my się w kończu zawsze z sobą zgodzimy.

— Bóg widzi! prawda! tak! słowo daję! — zawołał rozczulony uściskiem dziecka, całując w głowę córkę szambelan — ty, poczciwa, dobra jesteś jak anioł.

Czeżewska zdala za niemi stojąca nie kryła złego humoru w jaki ją ta czuła scena wprawiała, było w tem trochę jej winy, że się Burzymowski posprzeczał, darować mu więc tego nie mogła. Jesteśmy tak wszyscy, gdy się czujemy winnemi, część winy radzibyśmy złożyć na kogo innego.

Rada była co najprędzej pozbyć się, wyprawiając na dół, szambelana, gdyż sprawy toaletowe niecierpiące zwłoki czekały na nie, a Burzymowski nie kwapił się z pożegnaniem.

Widząc wreszcie, iż heroicznego użyć potrzeba środka, aby się go pozbyć, Czeżewska wśród najczulszych oświadczeń, któremi ojciec z córką pocieszali się wzajemnie, odezwała się głosem dyktatorskim.

— Dziś jeszcze tysiące rzeczy jest do załatwienia, a my aniśmy nawet poczęły.

Ja muszę iść i proszę panny Sylwii, aby przybyła co najrychlej. Krawiec czeka, modniarka nad karkiem stoi, szewc przyszedł brać miarę.

Burzymowski posłyszawszy to natychmiast ku drzwiom ruszył, Czeżewska trochę szyderską i litującą się minkę zrobiwszy powiodła za nim oczyma.

Taki był początek pierwszego dnia pobytu w Warszawie pana szambelana Stanisława Kostki Burzymowskiego, a jeśli kto to on wcale nie był uszczęśliwiony wypadkami dnia tego, w którym mu się wszystko na przekorę składało, począwszy od butów aż do spojrzenia córki na księcia Józefa, którego sława Don-Żuańska dla ojców i mężów strasznym czyniła.

Z głową zwieszoną, powoli zsunął się po wschodach stary ku swoim izdebkom.

Tu Zybek, znający się na swych obowiązkach,

przyniósł mu na długim cybuchu nałożoną z czubem fajkę tytuniu tureckiego, z której zwolna pykać zaczął, smutny jak noc, przybity i wzdychający szambelan.

Sądził, że wieczór cały przyjdzie mu samotnie przepędzić, bo się nie spodziewał nikogo, nikomu niedawszy swojego adresu, gdy w sieni usłyszał znajomy głos szambelana Pokutyńskiego, który Zybka stojącego cały dzień we drzwiach, dla gapienia się na ulicę, pytał:

— Jest pan w domu?

W tej samej chwili drzwi się otwarły i wyelegantowany zjawił się dawny kolega.

Bystre spojrzenie na twarz Burzymowskiego mogło go nauczyć, iż stary pierwszem wrażeniem Warszawy był znękany i wystraszony. Wczoraj na gościńcu widział go wesołym, uśmiechniętym, dziś znalazł zmęczonym, milczącym, posępnym.

Humor mu się popsuł bardziej jeszcze, gdy posłyszał od progu wołającego Pokutyńskiego.

— Powinszowania niosę! To się nazywa: *Veni, vidi, vici.* Cała już Warszawa brzmi imieniem córki waszej i sławą jej wdzięków! Wieść o jej piękności przebiega wszystkie salony, we wszystkich jest ustach... Ciekawość rozbudzona do najwyższego stopnia.

— A! Jezus! Marya! — krzyknął cybuch wypuszczając z rąk Burzymowski. — Zkąd? co?

jakże? krokiem nie wychodziła! Nikt jej nie widział jeszcze.

— Ba! ałe Majorowa, która już tu była na oględzinach, zawiozła pierwszą wiadomość do pałacu Na-Górce, do pani hetmanowej. Wczorajsza młodzież także w kołach swoich rozgadała o cudnem zjawisku; naostatek książe nasz, zdaje się, że waszą pannę musiał w oknie zobaczyć; uderzyła go jej nadzwyczajna uroda, zachwycony nią musiał się posłać dowiedzieć kto to był taki.

Burzymowski zamiast się ucieszyć uderzył w szerokie dłonie i załamał je z wyrazem rozpaczy.

Pokutyński śmiał się.

— Teraz — dodał — nie masz się już co taić i ukrywać z córką, ani przemyślać, gdzie ona bywać ma... Złapią was i pociągną gwałtem.

Szambelan tak był tem zmięszany, tak odurzony swem nieszczęściem, że nie umiał wyrazić inaczej utrapienia, jak niezrozumiałem wykrzykiem.

— Pocóż się już było śpieszyć z butami!

Pokutyński szczęściem nie posłyszał tego westchnienia, ciekawy zawsze, rozglądał się tymczasem po niepozornych izdebkach, w których go kolega przyjmował.

— Spodziewam się, — bąknął po chwili — że córkę chyba lepiej musiałeś ulokować niż siebie. Przepraszam cię, ale twoje mieszkanie na

zabrukaną celę kapucyńską wygląda, a dziś i twarz twoja, akomodując się do niego, ściągnięta coś jak po rekollekcyach!

— A! ja tam dla siebie wiele nie potrzebuję! — westchnął Burzymowski cały zadumany i pogrążony w sobie.

Pokutyński widząc go tak znękanym, rozbawić się starał.

— Pojutrze — rzekł — nasz teatr amatorski, śliczna rzecz! Jeżeli gdzie to na nim cały nasz świat zobaczyć można i wszystkim się pokazać. Niesposób ażebyście na nim nie byli. O zaproszenie dla was postaramy się, odbierzecie je niezawodnie. Przygotujcie się więc do tego.

Osowiałym wzrokiem spojrzał Burzymowski na mówiącego i swoim zwyczajem włosy trzéć zaczął.

— Nie wiem prawdziwie, — rzekł — czy my tam pojutrze będziemy mogli być! Tylko co jesteśmy z drogi, babom pewnie jeszcze mnóstwa gałganków brak, kto je tam wie! a guzdrają się...

— O! o! dadzą one sobie rady, — przerwał gość — ciekawość, ręczę ci, przyśpieszy przygotowania. Córka twoja pewnie zechce widzieć reprezentacyę tę, ty zaś nadto jesteś dobrym ojcem, żebyś miał swe dziecko przyjemności tej pozbawić!

Zdaje się, że szambelan domyślił się przyczy-

ny frasobliwego usposobienia kolegi i miał złośliwą przyjemność go drażnić, gdyż mimo coraz bardziej zasępiającej się twarzy Burzymowskiego, kończył.

— Tak! tak, kochanku! kiedyś grzyb, to leź w kosz, ojcem jesteś trzeba dziecku być posłusznym — takie teraz prawo. Długo bardzo dzieci rodziców słuchały, teraz kolej przyszła na starych, że młodym się muszą akomodować. Panienka się zabawi, ty się rozruszasz i złe humory odejdą. Kto wie? tyle młodzieży mamy? zakocha się w niej kilku, a przynajmniej jeden o rękę zgłosi. Pannie szambelanównie sprawimy weselisko, a ja na niem — wiesz co? no! ofiaruję się mazura z hołubcem! Zobaczysz że się zwijam jak potrzeba!

Klepał po kolanie Burzymowskiego, który siedział smutny i milczący nieodpowiadając już nic, aby nie wywoływać drażliwych kwestyj.

Niewiadomo jakby się była rozmowa skończyła, gdyby w tej chwili nie wpadł naprzód Zybek wołając:

— Pan Mieczysław!

A za nim tuż wpadł młody mężczyzna, pięknej postawy, przeciw któremu szambelan z rozstawionemi pośpieszył rękami i do piersi go przycisnął.

— Micio! a, przecież! Jużem, słowo daję nic

wiedział co myśleć, — wołał mocno poruszony Burzymowski.

W tem postrzegłszy, że przybyły zdala się kłania Pokutyńskiemu, pośpieszył go zaprezentować przyjacielowi.

— Mieczysław Grabski, mój bliski krewny, najmilszy sercu mojemu młodzieniec, którego łasce twej, kochany szambelanie, gorąco mam honor polecić. Ale, jakże to być może, ażebyście się nie znali?

Pokutyński i Grabski zimno się jakoś powitali, w taki sposób, iż należało się domyślać, że o sobie wiedzieli, znali się może zdala, a nie życzyli poufalszej zabierać z sobą znajomości. Takie przynajmniej zrobiło to wrażenie na szambelanie.

— Zdaje mi się, — odezwał się zimno a grzecznie Pokutyński — żem parę razy miał przyjemność spotykać pana dobrodzieja.

— Tak jest, — pośpieszył z równie ceremonialną odpowiedzią Grabski — ale nie miałem szczęścia być mu przedstawionym.

Wyrazy te pan Mieczysław wymówił chłodno też, nie przysuwając się bliżej, a Pokutyński skłoniwszy się elegancko, po młodemu, sięgnął zaraz po kapelusz i uściskawszy Burzymowskiego, który go do progu przeprowadzał, oddalił się śpiesznie.

V.

Przybyły pan Mieczysław Grabski, zdała podobnym był do innych swych rówieśników warszawskiego bruku, których miał ubranie i postawę.

Suknie nosił według ówczesnéj francuskiéj mody i nic mu nie brakło, aby mógł za przyzwoitego salonowego uchodzić młodzieńca. Wpatrzywszy się jednak w niego dostrzedz było można różnicę między elegantami i tężyzną ówczesną- a skromnym i nieco surowo, sztywniéj wyglądającym Grabskim.

Wprawdzie włosy miał, jak ówczesna chciała moda, ostrzyżone *à la Titus,* bardzo krótko, frak z długiemi połami, buty ze sztylpami, chustkę białą ogromną na szyi z fontaziem, jaki naówczas noszono, ale to wszystko skromne było, barw

niebijących w oczy i włożone tak jakoś, że nie zwracało uwagi, nie narzucało się przesadzoném staraniem o siebie.

Twarz pana Mieczysława bladawa, rysów regularnych, nie była ani piękną ani brzydką, lecz napiętnowaną wyrazem powagi nad wiek jego. Nie wydawał się bowiem starszym nad lat dwadzieścia kilka.

Trzymał się prosto, nieco z żołnierska, z widoczną pamięcią na siebie, chwilami jednak, jak gdy witał Burzymowskiego, surowość z oblicza ustępowała wyrazowi wielkiego, szczerego acz hamowanego uczucia. Naówczas lice to smutne całkiem się inne stawało, ożywiało, odmładzało, dopóki na rozkaz pana nie zesztywniało i nie stężało ostygłe.

Burzymowski na widok młodzieńca, dla którego musiał mieć afekt wielki, zmienił się cały, odzyskał wesele i rubaszność swoją. Po wyjściu Pokutyńskiego ponowił uścisk serdeczny i rzekł pospiesznie.

— Ale, chodźmyż na górę do Sylwki, bo i ona niecierpliwa jest i radaby cię zobaczyć. Tylko, powiedzże ty mi, jak się to stało, ja się ciebie spodziewałem zrana jeszcze? Czy zapomniałeś o nas? czyś zapomniał?

— A! nie zapomniałem, boby to była niewdzięczność sroga, — odparł głosem miłym i sympatycznym Micio, — wstrzymała mnie okoliczność

pewna, *force majeure*, oprzeć się jéj nie było sposobu. Miałem bardzo miłe i zaszczytne zaproszenie do Skierniewic do księcia arcybiskupa, a ten nie puścił mnie od siebie, aż dopiero przed paru godzinami.

— Fiu! fiu! — zaśmiał się widocznie uszczęśliwiony Burzymowski, — jakie sobie stosuneczki porobiłeś... Proszę, proszę! Arcybiskup go zaprasza i zatrzymuje! Jeszcze kto i jaki? Krasicki!..

I raz go jeszcze uściskał, ruszając ku drzwiom, bo pilno mu było zaprowadzić go na górę.

— Chodźmy! — zawołał, — chodźmy. Tam dopiero ja i baby weźmiemy asindzieja na spytki. Tyś się tu już stał Warszawianinem, znasz grunt, a my biedni parafianie na oślep jeszcze stawiamy kroki. Jesteś więc dla nas drogocennym przewodnikiem, musisz pokazywać drogę.

Gdy na górę weszli do salki, nikogo w niéj nie było, obie panie zbyt zapewne wiele miały do czynienia z gałgankami i znajdowały się właśnie na ważnéj naradzie z modniarką, którą pani Czeżewska częstując, przyjmując, obsypując grzecznościami, pozyskać się sobie starała.

Francuzka zaszczycona przez nią poufałém zbliżeniem się, wygadywała się z tém właśnie, jakie najświeższe suknie przywieziono dla hrabianki Anety z Paryża, co dla siebie kazała robić pani Vauban, jakie roby i jak garnirowane

zamówiły u niéj dla siebie panie Stasiowa i Kossowska.

Szambelan nikogo nie znalazłszy w saloniku, zniecierpliwiony na cały głos wykrzyknął.

— Sylwio! Sylwio! gościa mamy, Micio jest!

W sąsiednim pokoju dało się słyszeć poruszenie żywe, drzwi się otworzyły i piękna Sylwia wyszła trochę zarumieniona i zmięszana, podając rękę kuzynkowi, który ją z wielkiém uczuciem, wpatrując się w jéj oczy, pocałował. Czeżewska nie mogła jeszcze porzucić swéj francuzki, i pozostała z nią na radzie.

— A pięknie to, — odezwała się młoda gosposia, — tak na siebie kazać czekać? od ranaśmy się spodziewali pana Mieczysława. Tatko był niespokojny, czy nie chory...

Nim obwiniony miał czas odpowiedzieć, szambelan go uprzedził.

— Daj mu już pokój. Jest uniewinniony. Był u księcia arcybiskupa w Skierniewicach.

— A przytém, — dodał Grabski, — przyznaję się, żem się niebardzo spodziewał, abyście państwo ściągnęli na dzień naznaczony.

— A toż dlaczego? — spytała Sylwia.

— Bo drogi są szkaradne! — rzekł Grabski.

— Tak, ale nie ma złéj drogi do swéj niebogi, — wtrącił śmiejąc się Burzymowski. — Dla Sylwki ta nieszczęsna Warszawa jak dla kogo innego ta niebogа. Wzdychała do niéj, pędziła,

spieszyła. Nie żałowaliśmy konisków, no, to téż dostały cięgi, leżą teraz tak że cały dzień nie wstawały.

Sylwia się zarumieniła, Micio spojrzał na nią pytająco i rzekł.

— Czyżby doprawdy dla kuzynki taki nadzwyczajny urok miała Warszawa?

— Nie będę się wypierała... niezmierny! — szepnęła Sylwia.

— Formalnie się paliła mocibdzieju do téj Warszawy, tak że w końcu zląkłem się, aby nie zachorowała, gdy jéj téj szybki z okna odmówię, — dorzucił Burzymowski, — a ja ci powiem, że tu trochę się rozpatrzywszy...

Nie dokończył i ręką tylko machnął wzgardliwie.

— A! bo to ten kochany tatko, wszystkiego się boi, najgorsze zaraz rzeczy przewiduje, uprzedzenia ma, — zawołała Sylwia. — Nie wiem doprawdy, co się ojcu stało, nagle nabrał takiéj jakiéjś odrazy, choć nie było najmniejszego powodu!

Micio popatrzywszy na ojca i córkę odezwał się zwolna.

— Przyznaję się, że i ja miałem wielkie pragnienie dostania się tutaj.

— No, i zawiódłeś się? nie prawdaż? — przerwał spiesznie Burzymowski.

— No... tak i nie, — odpowiedział Micio spo-

glądając ku Sylwii nieśmiało. — W istocie poznałem tu wiele osób, dla których mam wysoki szacunek i których znajomością się zbogaciłem, a że oprócz nich jest dużo wietrzników i płochego ludu, cóż dziwnego? miasto duże, ludzi mnogo!..

Sylwia jakby błagając go, aby się nad tém nie rozwodził do zbytku, bystrém spojrzeniem które w niego wlepiła, zdała się ostrzegać, ażeby ojca nie drażnił.

Micio zrozumiał ją czy domyślił się czego żądała, odpowiedział jéj wzrokiem uspokajając i zamilkł.

— Gadajno asindziej, gadaj, — zawołał Burzymowski, — co się tu święci? Jakie macie towarzystwo czy towarzystwa? Gdzie ty bywasz? Kogo znasz? Kogo lubisz a kto ci wstrętny? Jak znalazłeś ten ich wielki świat?

— Świat wielki, kochany szambelanie, — począł przynaglony Micio, — jest zdaje mi się wszędzie jeden i ten sam. Dla niego elegancya stanowi warunek życia, rozrywka jest jedynym jego pokarmem, wesołość żywiołem, intryga zatrudnieniem. Trudno od niego wymagać, aby coś więcéj nad to miał na celu.

— Ah! jaki bo ty jesteś stary kuzynku! — rozśmiała się Sylwia, z rodzajem wyrzutu zwracając się ku niemu. — Świat młody bawić się musi...

— Ja téż przeciwko zabawie nie jestem, — począł broniąc się obwiniony, — tylko całe życie jéj poświęcać, nie zdaje mi się właściwém. No, i mnie, do tego się przyznaję, zestarzałego przed czasem, jak kuzynka powiadasz, zabawa nie bawi.

— A cóż cię bawi? — podchwyciła złośliwie trochę Sylwia.

Micio długo, tęskno spojrzał jéj w oczy i westchnął.

— Czy to dla nas w ogóle chwila do zabawy, nie wiem i wątpię, — rzekł smutnie.

— A! powiesz nam zaraz kazanie o surowych życia obowiązkach! — śmiejąc się przerwała Sylwia, — ale myśmy to już od ciebie słyszeli.

— Masz słuszność, kuzynko, — odparł Grabski, — o mało nie powtórzyłem kazania z tekstu znanego ci jeszcze w Burzymowie. Tak, mnie się zawsze zdaje, że po wielkich klęskach i przesileniach, po stratach ogromnych, ludzie się powinni skupiać na duchu, pracować, starać się siły odzyskać, a nie myśleć o zabawach.

— Jak to czuć, żeś kuzynek powrócił dziś ze Skierniewic od księcia arcybiskupa! — wesoło wtrąciła Sylwia.

— Mylisz się, piękna kuzynko, — odparł Mieczysław, — bo nie znasz naszego arcybiskupa. Pewny jestem, że myśli tak samo jak ja, a jednak niktby tego po nim nie poznał. Na pozór nie ma weselszego, swobodniejszego umysłu czło-

wieka nad niego. Zasadza drzewka, pielęgnuje kwiatki, których jest niezmiernym miłośnikiem, dowcipkuje, żartuje, lubi jak ty towarzystwo wesołe, a wiem że to wszystko poważniejsze myśli okrywa, choć mało kto to pozna po nim. Są chwile, w których smutek trzeba zagrzebać, aby go nam nie odjęto, a weselem się zamaskować.

Burzymowski słuchał nie męszając się do rozmowy, Sylwia zamilkła chwilę trochę zmięszana; stary z tego skorzystał i wtrącił.

— O tém potém — teraz pochwalmy się przed kuzynkiem, jak z krótkiego skorzystawszy czasu jużeśmy kilka porządnych bąków ustrzelili.

Micio odwrócił się ku niemu z ciekawością.

— Jakto? cóż?

Sylwia ramionami ruszyła.

— Rejestr już dosyć długi, — począł szambelan. — Naprzód, wystaw sobie, licho nadało, w Jabłonnéj na gościńcu zetknąć się z Pokutyńskim, a przez niego popaść w gromadę jakichś hulaków, jakiegoś Dąbskiego, Kalinowskiego, Bielińskiego...

Micio skrzywił się słysząc nazwiska.

— Poniekąd, zrobiła się z nimi wcale niepotrzebna znajomość, ale mieliśmy do czynienia z podchmielonymi.

— Jakto! i kuzynka? — podchwycił z przestrachem Grabski.

— Widzieli ją tylko zdaleka i przez mgłę

ponczu, — westchnął Burzymowski, — ale i tego zanadto! To tedy, raz! Powtóre, pani wojska Czeżewska wprowadziła nam tu swą dawną przyjaciółkę, która się już i moją nazywa, majorową Mydłowską z pod ciemnéj gwiazdy, fertyczne jakieś licho, które już po Warszawie o Sylwii rozniosło — to dwa. Naostatek panna szambelanówna, wyglądając okienkiem, miała już szczęście wpaść w oko księciu Józefowi, który aż do kamienicy przysyłał dowiedzieć się, kto to taki w niéj zamieszkał!

— Tatku! — przerwała Sylwia.

— A no, nie kłamię, słowo daję, tak jest! — potwierdził Burzymowski.

Grabski pobladł i zaciął usta. Czoło mu się pofałdowało.

— Ale, ale — ciągnął daléj stary zwracając się do niego, — ty mi raz powiesz jasno i uczciwie...

W tém spojrzawszy na córkę, pomiarkował, że przy niéj pytanie to byłoby może nie w miejscu i swoim zwyczajem zakończył.

— A no — o tém potém...

— Przepraszam, — wtrąciła Sylwia domyślając się przyczyny milczenia ojca i obrażona a poruszona tak, że jéj rumieniec na twarz wystąpił. Pana Mieczysława biorę za sędziego przeciwko tatkowi. — Postępuje ze mną jak z małém dzieckiem, mnóstwo rzeczy chce zakrywać i taić przede

mną! Czyż dobrze jest mnie zostawiać w nieświadomości? to tak jakby mi na drodze rowy i doły pozakrywano... O co ojciec chciał pytać?

Burzymowski obiema rękami po bokach się uderzył.

— A! to skaranie Boże, z tą kobiecą ciekawością! — zawołał.

Grabski milczał mierząc niespokojnemi oczyma ojca i córkę.

— No, więc jasno, kategorycznie! — krzyknął zrozpaczony szambelan, — tak, tak, mówmy jasno. Powiedz mi, panie Mieczysławie, bez ogródki, kto gospodaruje pod Blachą? hę? Jakaś emigrantka, pani de Vauban, która mieszka sobie u księcia? Cóż to jest za gospodarstwo? Książe kawaler, ta jejmość mężatka bez męża.— Gdzież to kto co podobnego słyszał? Mogąż tam bywać kobiety, co o swoją sławę dbają? Co to jest za stosunek?..

Sylwia usłyszawszy pytanie ustąpiła zwolna ku oknu.

Zaskoczony niespodzianie kwestyą tak drażliwą i tak ostro sformułowaną, Grabski się potrzebował namyśleć.

— Pani de Vauban, — rzekł, — przybyła tu z siostrą księcia, która ją tu — zostawiła. Ma ona męża w tej chwili nawet znajdującego się w Warszawie. Wszystkie panie bywają u niej, i choć położenie jest niejasne, fałszywe, ściśle biorąc

trudno kamieniem rzucić... Muszę to dodać, — rzekł po chwili Grabski, — że owa sławna pani de Vauban nie jest ani bardzo młodą, ani piękną, ani o księcia zazdrosną. Przyznaję, że położenie jest nieco dwuznaczne, ale kiedy ani pani hetmanowa, ani książęta Czartoryscy, ani wszystkie inne matadory wielkiego świata, nie widzą w tém nic zdrożnego...

Burzymowski dziwnie się jakoś otrząsnął i splunął, a Sylwia za ten sąd pełen umiarkowania i wyrozumiałości wejrzeniem miłém podziękowała kuzynkowi.

— Zatém, — dodał szambelan po namyśle, — gdybyśmy tam byli wciągnięci, możemy, moglibyśmy tam iść? hę?

Grabski nic nie odpowiedział, milczenie było znaczące.

— Gadajże! jak sądzisz? — nalegał Burzymowski.

— Kochany szambelanie, — odezwał się zagadnięty ze smutkiem, — nie trzeba było przyjeżdżać do Warszawy, jeśli się tego chciało uniknąć.

— A któż u licha mógł wiedzieć o tych Wonpanach, o tém wszystkiém! — wykrzyknął rękami rzucając Burzymowski. — Tu poprostu spytaj acan na ulicy kogo chcesz, powie ci każdy ulicznik, że Vauban jest księcia Józefa metresą!

Sylwia nim ojciec to dokończył, wyszła do

drugiego pokoju. Ciężar spadł z piersi Burzymowskiemu, gdy obejrzawszy się spostrzegł, że jéj nie było.

— No, nie ma jéj, mówmy teraz z sobą otwarcie. Co mam począć?

Westchnął Grabski, pochylił się do ucha i powtórzył cicho.

— A po cóżeście przyjechali do Warszawy, kochany szambelanie? Pytanie spóźnione, ja na nie inaczej odpowiedzieć nie umiem, tylko że uniknąć tego towarzystwa, którego się obawiasz dla kuzynki, będzie prawie niepodobieństwem. Wszakże macie jakąś kolligacyę z Tyszkiewiczami?

— A tak! daleka jakaś, ale jest i Sylwia w to bije! — mruknął Burzymowski.

— Możecież się uchylić od tych kół i towarzystw, w których i pani hetmanowa i wszyscy bywają?.

Szambelan zamilkł zakłopotany, Sylwia nie powracała, począł więc, ująwszy pod rękę Grabskiego.

— Ja miałem myśl inną, — rzekł, — dałbym za wygraną kolligacyi,' chciałem Sylwię wprowadzić do tych tylko domów, którym nic zarzucić nie można, do pani Lanckorońskiéj, do Wielopolskiéj, do Sołtyków.

— I tak nawet trudnoby było, — odparł Grabski, — zetknięcia się z Blachą uniknąć. Dla mło-

déj osoby zabawy są potrzebą; na kasynie, w teatrze, w ogrodzie spotykalibyście codzień osoby należące do kółka z pod Blachy. Piękność kuzynki musi wszędzie na nią ściągnąć oczy...

— Masz słuszność, — przerwał nagle z heroiczną rezygnacyą szambelan, — zrobiłem kapitalne głupstwo przybywając tu... idzie teraz o to tylko, aby się ztąd jak najprędzéj wydobyć. Tymczasem, Miciu, ty bądź dla nas na te trucizny antidotem. Jesteś młody a nie płochy, Sylwka niewinna, poczciwe dziecko, nie widzi nic na świecie oprócz zabawy, ja jéj nic nie wyperswaduję, mówię językiem starego; rzucone czasem przez ciebie słowo może dla niéj być zbawienne. Graj rolę mentora...

— Kochany panie szambelanie, nadto mi przypisujesz mocy i powagi, — odezwał się śmiejąc Grabski. — Kuzynka zowie mnie pedantem, nie rada słucha, moje słowo niewielką u niéj mieć będzie wagę. Mam dla niéj braterskie przywiązanie, gotów jestem na wszystko... ale, cóż ja tu znaczę?..

— Gdzież ty bywasz? — spytał po namyśle szambelan.

— Ja? wszędzie i nigdzie, — rzekł Grabski z uśmiechem, — jestem tu czémś tak mało znaczącém, że się wszędzie mogę wcisnąć niepostrzeżony i wyjść niewidziany. Czynnie i stale nie

należę do żadnego kółka, stoję na boku, jestem spektatorem.

— No, ale przecież gdzież bywasz? — spytał Burzymowski.

— Domy w których bywam częściéj, — odparł Grabski, — są nieliczne. Bywam u pani starościnéj krakowskiéj, a kasztelanowéj Połanieckiéj, u Chreptowicza, Czackiego, Sołtyków, nareszcie i w Skierniewicach.

Wszystko to nie bawiące się, nie zabawne i ciche.

— A... pod Blachą? — wyjąknął Burzymowski z ciężkiém westchnieniem, — pod Blachą?

— Cóżbym ja tam robił? Do teatru się amatorskiego nie przydam, i do niego aż nadto już kandydatów, dowcipny nie jestem, kobietom służyć nie umiem.

— Znasz przecie księcia Józefa, jako dawny podkomendny jego?

— Tak jest, — rzekł Grabski, — ale go tylko zdala widuję. Otoczony jest obcemi lub takiemi ludźmi, z któremi ja nie mam nic wspólnego. Mniemam, że wszystko co czyni potrzebném mu jest tylko do zamaskowania się, do przekonania prusaków, że o szabli zapomniał, że żadnych już nie żywi nadziei i zamiarów nie ma... ale... właśnie dlatego ja mu teraz niepotrzebny.

— Mów otwarcie, co się z nim teraz stało? odezwał się szambelan — sfrancuział słyszę!

— Zawsze był więcéj niż na pół francuzem, odezwał się Grabski, czemu nie winien bo go tak matka cudzoziemka wychowała. Nie przeszkadzało mu to być mężnym wodzem i szlachetnym człowiekiem. Był zawsze płochém chwilami dziecięciem wielkiego świata, ale pod tą płochością serce mieszkało złote. I dziś go sądzić surowo nie należy, jestem przekonany że gra doskonale głęboko obmyślaną komedyę, któréj ostatni akt— tragiczny może, skończy się wielkim Europy i naszym oklaskiem! Czekajmy!

Spojrzał na mówiącego Burzymowski, jakby go nie mógł lub nie chciał zrozumieć — zamilkli, Sylwja która z drugiego pokoju coraz cichszą, słyszała; jakby dogorywającą rozmowę, weszła teraz znowu, prowadząc z sobą panią Czeżewską, która pozbywszy się już francuzki, powitała gości bardzo zimno i kwaśno. Widać było że u niéj łask nie miał.

— Po jutrze, odezwała się korżystając z milczenia pani Wojska, mamy teatr *de société*, na którym być musimy. Niemało będzie z tualetą kłopotu, pierwszy krok na świat, jest niezmiernéj wagi.

— A! a! już asindzka wiész o tym teatrze! zawołał Burzymowski smutnie.

— No? a pan? odparła Czeżewska.

— A! i ja już o nim wiedziałem! westchnął trąc łysinę stary.

— Pan na nim także zapewne będziesz? z przekąsem zwracając się ku Grabskiemu odezwała Wojska.

— Będę niezawodnie! krótko odparł Grabski.

Nie zdawała się téj repliki spodziewać Cześewska, zacięła usta i zmilczała.

Sylwja wesoło zbliżyła się do kuzyna.

— Bardzo się z tego cieszę, rzekła — bo jeśli mi zabraknie *cicerone* któryby mi pokazywać umiał wszystkie piękne panie i panów, zamawiam sobie pana Mieczysława i umęczę go, zapowiadam!

— Będę w odwodzie na wszelki wypadek — odpowiedział Grabski z ukłonem, chociaż jestem najmocniéj przekonany, że piękna kuzynka mieć takich będzie tylko *l'embarras du choix.*

— Nie znam nikogo!

— Ale wszyscy zapragną cię poznać — odparł Micio.

— Pan w Warszawie, jak widzę, nauczyłeś się być galantem, dołożyła złośliwie zawsze pani Wojska.

— Widzi pani, żem tu czasu nie stracił! rzekł Grabski uśmiechając się.

Sylwja ciągle z wielką uwagą przypatrywała się kuzynkowi.

— Wszak to modny sposób noszenia włosów, *à la Titus?* odezwała się do niego. I to dowodzi żeś pan skorzystał z pobytu w stolicy, posłusznie się zastosowując do rozkazów królowéj mody!

— Miałżem się stać śmiesznym i dziwacznym chodząc inaczéj niż drudzy? odparł Grabski. Zwracałbym oczy na siebie, a jest todla mnie jedna z najprzykrzejszych w świecierzeczy.

Czeżewska ruszyła ramionami, Sylwja zamilkła.

— Ten wasz Tytus, piękne nazwisko, nie ma co mówić, ale to nie ciekawie wygląda — dodał Burzymowski, już ja mój podgolony łeb wolę.

Grabski śmiał się, oczy jego chodziły ciągle za piękną kuzynką, która też często nań badające rzucała spojrzenia. Obcy człowiek który by ich widział przy sobie, mógł się domyśleć łatwo ze strony Grabskiego, utajonego dla Sylwji sentymentu, z jéj strony świadomości tego uczucia i prawie zupełnéj na nie obojętności.

Stosunki blisko trzydziestoletniego pana Mieczysława z daleko od niego młodszą kuzynką, sięgały już lat dawnych, on znał ją i pamiętał prześliczném dziecięciem. W oczach jego wyrosła na ten czarodziejski kwiatek, który się teraz rozwijał w pełnym blasku. Nie podobna prawie było ciągle ją widując nie rozkochać się w niéj szalenie; zwłaszcza że młodziuchna istota, z instynktem zalotności prawdziwie niewieścim, chciała i nakazywała się kochać.

Lecz między tą leciuchną, ptaszyną stworzoną do swobodnego lotu, a panem Mieczysławem ciężko kroczącym po drodze żywota, niezmierna

była charakterów i usposobień różnica, a temperament wiódł na te wonne życia manowce, których on znał zdradliwość i zasadzki. Micio był nad swój wiek poważnym człowiekiem, ona właściwą swym latom miała życia ciekawość i jego pragnienie.

Bardzo młody, zaledwie osiemnastoletni w czasie sejmu czteroletniego, Grabski zaciągnął się po nim do wojska w 1792 r. odbył kampanją z księciem Józefem, a epoka ta właśnie, w którój pierwsze odebrał wrażenia najsilniejsze po sobie zostawujące znamiona — epoka ta uczyniła go z młodzieńca mężczyzną, dała mu dojrzałość zawczesną.

Kochając Sylwję Grabski na próżno usiłował ją do siebie uczynić podobną; skierować jéj umysł do zapatrywania się na świat i jego obowiązki z poważniejszego stanowiska.

Sylwja, mając dlań trochę przyjaźni i poszanowania, przez wdzięczność za to kochanie chciała go odmłodzić i roztrzpiotać.

Nawracanie wzajemne po wielu próbach, okazało się w końcu zupełnie bezskutecznem.

Pozostali więc z sobą w téj jakiéjś ciągłéj serdecznéj wojnie, która nie przeszkadzała im być najlepszemi przyjaciołmi, choć się ciągle z sobą ucierali.

Micio miał nadzieję że ją wiek odmieni, kochał się w niéj zapamiętale i uparcie, a że wpływ

Czeżewskiéj zdawał mu się z pierwszych względów szkodliwym, że przeciw niemu otwarcie walczył, miał za to poprzysiężoną nienawiść pani Wojskiéj, która się z tém nie kryła że cierpieć go nie mogła.

Obie z Sylwją nazywały go nieznośnym pedantem, ale kuzynka przyznawała mu dobre, poczciwe serce, a Czeżewska utrzymywała że w pożyciu byłby z niego najstraszniejszy tyran, jakiego ziemia nosiła.

Burzymowski kochał go jakim był, nie rozmyślając nad nim, miał dlań słabość, miał w nim ufność — któż wie? przyjął by go był może za zięcia, chociaż podobno wyżej sięgał życzeniami dla Sylwji, a nazwisko Grabskiego szczególniéj, z powodu znanego od wieków przysłowia, zdawało mu się śmieszném.

Przywiązany był do niego pomimo to, jak do własnego dziecięcia — ale Sylwja, Sylwja dlań była nietylko dziecięciem ukochaném, była bóstwem i królową.

Towarzystwo całe jeszcze zebrane było w małym saloniku na górze, a rozmowa toczyła się znowu o niezliczonych szczegółach i formach życia wiejskiego, których wszyscy byli zarówno ciekawi, gdy drzwi od drugiego pokoju otworzyły się jakoś ostrożnie, do połowy, szept dał się słyszeć niewyraźny a przyspieszony i pani Wojska wybiegła z żywością zwykłej jej powadze nie

odpowiadającą, powracając natychmiast zarumieniona, rozpromieniona, tryumfująca, z bukietem w ręku przepysznym, z najrzadszych w téj porze i najpiękniejszych kwiatów złożonym, związanym białą wstęgą atłasową.

Z ukłonem niezmiernie wymuszonym, teatralnym, śmiejąc się na wpół złośliwie, pół radośnie, podała go pannie szambelanównie, prawie przestraszonéj.

Na wstędze stał napis:

Hommage à la belle inconnue.

Szambelan podbiegł zdyszany.

— Cóż to jest? zkąd? krzyknął.

— Służący jakiś, dżokej, odpowiedziała patetycznie Wojska, młody, ładny chłopak, bardzo elegancko ubrany, znać z pańskiego domu, stanął przed chwilą u drzwi kamienicy, i oddał go służącéj z poleceniem wręczenia pięknéj pannie mieszkającéj na pierwszém piętrze.

Zarumieniona, w płomieniach cała, pomięszana niezmiernie szambelanówna zakrzyknęła.

— Ale, ciociu! to niemoże być dla mnie!

— Tak jest, na mój honor, dla ciebie, śmiejąc się, uszczęśliwiona powtarzała Czeżewska — nie dla kogo tylko dla ciebie. Słowo daję. Sylwja już jakąś ogromną zrobiła konkietę.

— A niechże jasne pioruny zatrzasną! z desperacyi ręce łamiąc odparł szambelan.

Grabski stał zagryzając usta; Sylwja nie wie-

działa co począć, Czeżewska ciągle przed nią trzymając bukiet, wciskała jéj go w ręce.

— Weź że! prześliczny jest! Proszę cię dumną z tego być powinnaś i szczęśliwą — wołała Wojska — przecież go na ulicę nie wyrzucisz!

Burzymowski nie mógł gniewu rosnącego pohamować.

— Gdybym tego chłystka, impertynenta, błazna jakiegoś, mosanie, co mi tu śmiał z bukietem tym wystąpić, dostał w moje ręce!! miałby się z pyszna! popamiętałby ruski miesiąc!

— Ale któż to być może? przecież nie wychodziłam krokiem! mruczała Sylwja.

— Dosyć było żebyś się w oknie sprezentowała! odparł Burzymowski — nie trzeba było się popisywać z twarzyczką!

Dżokej oddał bukiet? zapytał Grabski Czeżewskiéj.

— Dżokej! dżokej! służąca powiada że był prześlicznie ubrany, w czapeczce aksamitnéj, — przyjechał na bardzo pięknym gniadym koniu;— spiesznie odparła Wojska.

Wszyscy patrzyli na zadumanego Grabskiego.

— Wiadomo wszystkim, począł zwolna Micio, że najpiękniejszych dżokejów ma książe Józef, a wszystkie konie stajni jego są gniade, bo to maść ulubiona.

Spojrzał na płonącą Sylwję, któréj twarzyczka wstydem i radością pałała.

Burzymowski stał przybity, Czeżewska tymczasem wąchała kwiaty, lubowała się niemi i trzymała je przed Sylwją, która jeszcze dotknąć ich nie śmiała, choć widać było że bardzo je pragnęła pochwycić, gdyby nie ojciec!

— Otóż to ta wasza śliczna Warszawka! gdérał Burzymowski, otóż to wasza galanterja paryzka. Nie znajomy ktoś djabli go wiedzą kto, śmié, mości dobrodzieju, obywatelskiéj córce narzucać się z prezentami! *Hommage!* dałbym ja mu *hommage!* po bokach! trutniowi!

— Ale cóż to jest złego w tym hołdzie admiracji złożonym u stóp piękności; opryskliwie odezwała się Czeżewska — nie potrzeba sobie robić jakichś wizji z niczego? któż zaręczy że to przysłał mężczyzna?

Proszę szambelana, na ołtarzach stawia się bukiety, a Pan Bóg się nie gniéwa!

Grabski milczący, z rękami w tył założonemi po salce się przechodził.

— Ale! ale! co asindzka wygadujesz! mów sobie komu chcesz a nie mnie że to przysłał nie mężczyzna! zawołał szambelan gorączkowo. Właśnie by kobieta kobiecie pieknéj bukiet posyłała! każda z was rywalkę gotowaby struć lub w łyżce wody utopić. Potrzeba dojść koniecznie sprawcę téj zuchwałéj impertynencji, a potém zobaczemy co zrobić wypadnie; to moja rzecz, gdy o Sylwję chodzi u mnie żartów nie ma.

To mówiąc zbliżył się Burzymowski i raz jeszcze napis syllabizując smutnie głową potrząsał. W najprzykrzejszém położeniu była Sylwja nie śmiejąc się odezwać, nie odważając dotknąć ślicznego bukietu, choć w duszy była nim dumną i uszczęśliwioną. Główka jéj się już tym paliła co mówił Grabski, że nie mógł być od nikogo innego tylko od księcia Józefa.

W tém Wojska na palcach zbliżyła się do jéj ucha, zakryła chudą ręką i szepnęła cichutko.

— Bukiet to nic, ale przecie wiadomo, że kwiaty mają znaczenie — *Le langage des fleurs*, daje się jak bilet czytać. — Wytlumaczę ci każdy z tych kwiatków: Uwielbienie — miłość gorąca, — pragnienie zbliżenia się — wszystko to stoi tu wyraźnie, jasno jakby czarno na białem napisane było. Powiadam ci, na mój honor, nie ma najmniejszéj wątpliwości.

Bojąc się aby ojciec nie posłyszał co Wojska mówiła, Sylwja ścisnęła ją za rękę.

— Cicho — zmiłuj się, szepnęła — cicho — potém, potém!

Szambelan namyśliwszy się, zbliżał się właśnie do Wojskiéj.

— Proszę mi dać ten bukiet! wołał, precz mi z tém na śmietnisko! precz na środek ulicy!

Czeżewska rzuciła się gwałtownie, zasłaniając bukiet zagrożony, — spojrzała nań oczyma zaiskrzonemi.

— Ale nie czyń że się pan śmiesznym, panie szambelanie! krzyknęła oburzona. Bukiet! cóż znaczy przysłany bukiet? przecież to przyjęte na całym świecie że się posyła kwiaty znajomym i nieznajomym! Pan byś temu nadał większe znaczenie niż ma w istocie, narażając siebie i nas na śmiech! na drwiny! Piękna rzecz... Pruderja taka parafianska! Ja panu tego bukietu nie dam! słowo honoru! nie dam!

— Mój tatku! szepnęła Sylwja, cóż te śliczne kwiatki zawiniły; Wojska ma słuszność, proszę ojca! to nie ma żadnego znaczenia!

I zasłoniła kwiaty sobą od napaści ojca, który rękę po nie wyciągał. Grabski stojący na boku wcale się do téj sprawy mięszać nie chciał.

— Kuzynie! Miciu! stań że ty w obronie niewinnego bukietu! odezwała się do niego Sylwja.

— Na prawdę, panie szambelanie, wtrącił Grabski posłusznie, rzecz cała nie warta aby ją tak brać na serjo! Najlepiéj ładny bukiet postawić gdzieś w kącie i zapomnieć o tém. Rzecz cała nie warta abyś się nią tak burzył!

— Tak! ślicznie! i fakt spełniony mam przyjąć, milczeniem, akceptować! zakrzyknął Burzymowski, aby się nazywało że moja córka od nieznajomych trutniów, pierwszego lepszego szaławiły przyjmuje prezenta i homagja! Jutro jéj gotowi przysłać co innego! to mi się podoba!

Grabski przystąpił do zburzonego ciągle Bu-

rzymowskiego i z cicha począł go łagodzić i uspokajać. Kobiety usunęły się na bok, a Czeżewska zręcznie skorzystawszy z chwili, cofnęła się z bukietem do drugiego pokoju, unosząc drogą pamiątkę, aby nie padła ofiarą ojcowskiego gniéwu.

Szambelan dał się przecie ułagodzić i uspokoił nieco, a przynajmniéj zamilkł. Sylwja przystąpiła tuż do niego podpieszczając trochę, co zawsze skutkowało.

Nie rychło jednak rozgniewany stary ochłonął, i gdy Grabski zaczął się żegnać, poszedł razem z nim na dół, zmuszając aby wstąpił jeszcze do jego mieszkania. — Sylwja wejrzeniem niemal wdzięczném pożegnała kuzyna, przypominając mu że mieć będzie poleceń mnóstwo i że się go codziennie spodziewa widywać na swéj służbie. Wiedziała dobrze filutka że niczém mu więcéj nad ten rozkaz przyjemności uczynić nie może.

Na dół zszedłszy strapiony szambelan z rozgniewanego jakim był na górze, stał się rozżalonym i nad wszelki wyraz zbiedzonym. Łzy mu się w oczach kręciły.

— Otóż patrz, mój Miciu, rzekł płaczliwie — patrz w co my tu przez moją slamazarność wpadliśmy! Jeszcze dwadzieścia cztery godziny nie upłynęły od przybycia, a już awantura! Awantura! Mówcie sobie co chcecie! taki to jest awantura! Sylwji jak nic, bo to dziecko, może się głowina zawrócić, a potém!!

Nie dokończył i jęknął.

— Niech no się pan uspokoi — a tak tego do serca nie bierze — odezwał się Grabski. Sługom potrzeba zakazać aby podobnych, a w ogóle żadnych podarków i posyłek od nieznajomych osób nie przyjmowały, nic zresztą o tém nie mówić i nie skarżyć się, nie rozgadywać. — Rzecz istotnie małéj wagi!

— Nie opuszczaj mnie, przyjacielu! rzucając mu się w objęcia z tragicznym wyrazem boleści zawołał stary. W tobie nadzieja moja! Ja ufam ci! nie opuszczaj!

Rozstali się nareszcie, a Burzymowski padając na krzesło tak miał serce uciśnięte iż nie postrzegł nawet tego co mu niejaką mogło przynieść pociechę.

Na przeciwko niego w miejscu wydatném Zybek postawił był safianowe buty, które majster kunsztu szewskiego prędzéj przyniósł niż obiecywał, wiedząc że pilno ich potrzebowano. Nie rychło jakoś szambelan wodząc po pokoju roztargnionemi oczyma, zobaczył je i zaraz mu się lżéj na sercu zrobiło.

Był już pewnym że nazajutrz do kamienicy misjonarskiéj pójść będzie mógł z rewerencją do kasztelanowéj.

Ufał w to że późniéj i Sylwję tam wprowadzić potrafi, aby pod opieką czcigodnéj matrony, mogła być bezpieczną od zasadzek których się tak lękał.

VI.

Dni powszednich salon pod Blachą wcale nie miał wesołej fizyognomii. Obyczaje gospodyni (wspomnianej pani de Vauban), słabe jej zdrowie, wypieszczenie, tony jakie sobie dodawała wszystkich zmuszając, aby się do dziwactw jej stosowali i kaprysom ulegali, nadawały mu cechę właściwą, a dość oryginalną.

Klasztorna cisza panowała przez wieczór cały. Nikt się tu głośniej odezwać ani rozśmiać nie ośmielił, nieznoszono butów skrzypiących, ani śmielszego chodu, któryby zatętnił na posadzce. Światła wszystkie stały zwykle umbrelkami przyćmione, okna szczelnie zatulały firanki, drzwi w obawie przeciągów zamykano starannie a że przytém lękano się stuknąć niemi, każda taką

operacya odbywała się bardzo powolnie i z niezmiernemi ostrożnościami.

Znajdowali się goście w salonie pani de Vauban jak w pokoju śmiertelnie chorego człowieka, dla którego najmniejszy głos, najlżejsze niespodziane wrażenie zagrażać mogło niebezpieczeństwem. Słudzy, domownicy, sam książe przyzwyczajeni byli do tych wymagań delikatnej istoty, a grono osób większego świata, gdzieindziej nawykłe do swobody i hałaśliwego ruchu, tu zachowywało się z prawdziwie zdumiewającą uległością dla wydelikaconej, kaprysnej francuski.

Dnia tego w salonie znajdowały się tylko trzy piękne panie i ona...

Słusznego wzrostu, pięknej jeszcze postawy, ruchów dosyć wdzięcznych, pani de Vauban mogła znęcić i zająć sobą chyba jako nierozwikłana zagadka. Na twarzyczce mocno przywiędłej, która nigdy klasycznie piękną nie była, ale mieć mogła wiele fizyognomii i życia — widać było znużenie, rozpieszczenie się i doskonale nadaną pewną dystynkcyę sztuczną, niepozbawioną przesady.

Grała wielką damę z talentem niepospolitym i olbrzymią wiarą w sobie; chciała być istotą eteryczną. Jak prawie zawsze na świecie, silna wola i wytrwałość zapewniły jej zwycięstwo nad wszystkiem co w sferę jej wchodziło.

Potrzeba tylko uwierzyć w siebie, a ludzie skłonią głowy posłuszne...

Niemając ani piękności, ani nawet szczególnego wdzięku, który ją często zastąpić umie, tą tylko przybraną dystynkcyą i elegancyą wyszukaną, zastępowała co jej brakło — urodzenie, imie, fortunę, znaczenie, wszystkie siły i środki, które innym często do niczego nie służą, bo ich użyć nie umieją. Ona z tą odrobinką ideału, jaką jej niegdyś wydzieliła natura, udając niby wyższą istotę potrafiła się za nią przedać i zostać powszechnie uznaną za godną sfer najwybrańszych.

Niemając zbyt wybitnego pozoru komedyantki, była to skończona artystka w swoim rodzaju.

Zamiłowanie we francuskim tonie, w manierach paryskich, we wszystkich właściwościach wyższego towarzystwa europejskiego, czyniło polskie panie wielbicielkami tej kobiety, która doskonale słabość ich wyzyskiwać umiała. Raz podbiwszy kilka wpływowych a słabych kobiet, w chwilach znudzenia umiejąc pewną oryginalnością rozbudzić wyżytego księcia; zyskała pani de Vauban stanowisko odrębne, dziwne, którego dwuznaczności widzieć i rozumieć nie chciała. Świat nie miał nic do zarzucenia, bo go zuchwalstwo tej osobliwszej istoty, naiwny jej cynizm i obojętność na opinią — rozbrajała.

Zostawszy raz królową tego podbitego w chwili nieopatrzności świata, nie dopuszczała się już zdetronizować. Było to prawdziwe arcydzieło polityki i zręczności.

Ks. Józef jeżeli kiedy był nią zajęty to na krótko, rozczarowany i ostygły od dawna znosił już tylko tę towarzyszkę, która jego obojętności widzieć nie chciała. Patrzała na wszystko przez szpary, byle módz dłużej grać swą rolę królowej.

Im słabszą dla niej okazała się społeczność polska, tem ona stawała się względem niej zuchwalszą i więcej wymagającą, ufając że nikt nie będzie mógł, ani śmiał podnieść przeciw niej buntu. Książe Józef dla miłego spokoju tolerował te dziwactwa udając, że ich nie widzi i nie rozumie, własną nawet rodzinę tej improwizowanej władczyni poświęcając.

Ufać sobie i chcieć silnie! mieć wolę i wytrwałość, cóżto za olbrzymie dźwignie! Vauban nie miała nic nad nie i — dziwną słabość a ślepotę dobrowolną tych co ją otaczali.

W czasie, gdy się to opowiadanie rozpoczyna, zajmowała w społeczeństwie stanowisko przywłaszczone, dziwne, wyjątkowe, jakie tylko w Polsce można było nieprawnie, niezasłużenie a tak małym kosztem pozyskać.

Być bardzo może, iż położenie księcia Józefa zmuszało go do odwrócenia uwagi od siebie, do wystawienia się światu jak najpłochszym, jak najlekkomyślniejszym człowiekiem, niemającym w życiu innego celu nad zabawę, rozrywkę i salonowe intrygi. Pani de Vauban do odegrania tej roli, do zasłonięcia go była mu potrzebna. Powa-

źniejszy, wiodąc życie ustronne, pracowite, książe byłby się prusakom stał podejrzanym, mógłby się obawiać wygnania lub niewygodnego dla siebie nadzoru.

Życie jakie prowadził umyślnie, ostentacyjnie, uspokajało i kazało się w nim nie lękać już zniewieściałego człowieka. Chcąc się do spodziewanych lepszych zachować czasów, książe Józef musiał przybrać ten pozór i maskę, w jakiej go widzimy, aż do chwili — przebudzenia.

W chwili, gdy czytelnika do salonu pod Blachą wprowadzamy, był on ogrzany nie do wytrzymania, gdyż jak światła i hałasu tak chłodu owa istota delikatna znosić nie mogła. Było w nim prawie pusto. Około okrągłego stolika, na którym widać było dwie czy trzy listy składek, gdyż gospodyni zawsze na jakieś cele dobroczynne zbierała — kilka robót kobiecych zaczętych i parę książek francuskich, siedziały trzy panie składające poufałe towarzystwo a raczej dwór gospodyni księcia Józefa.

Wszystkie trzy jaśniały wdziękami, ćmiły się wzajem blaskiem swej piękności, a bardziej jeszcze zwiędłą, schorzałą, żżółkłą francuskę. Ufała ona tak tajemniczemu jakiemuś swemu wdziękowi, dla profanów niedojrzanemu, iż wcale się zdawała nie obawiać porównania, a o płochego swego Pepi nie była wcale zazdrosną. Węzeł, który ją z nim łączył, był jakiejś zagadkowej natury,

idealnej, niezmysłowej, gdyż pani de Vauban na miłostki księcia Józefa uśmiechała się tylko i wcale im nie stawała na drodze. Wyższą chciała się okazać nad gminną zazdrość i może tem też utrzymywała się na swem stanowisku.

Trzy piękne panie siedzące u stolika, rozmawiały i śmiały się po cichu: Vauban słuszna, wysmukła, powolnym krokiem przesuwała się po saloniku, czasem zatrzymując się przy nich, rzucając słowo jak wyrocznię, to znów błądząc milcząca z myślami swemi.

Na węzełku batystowej chusteczki miała krople jakieś, które wąchała, a w kieszonce bonbonjerkę, z której kiedy niekiedy dobywała i niosła do ust pastylki. Zdala miała w istocie fizyognognomię wielkiej pani, ruchy dystyngwowane, powagę nieco komedyancką. Pilnie się przypatrzywszy można było dostrzedz rąk pielęgnowanych troskliwie, ale wcale nie arystokratycznych, a z pod maski rozpieszczonej faworyty przeglądał typ ludowy francuski. Oczy, choć przyćmione powiekami, wejrzenie miały bystre i przenikające. Domyślać się było można, iż ta roztkliwiona i rozmiękła twarzyczka, na której najmniejszego śladu szczerego uczucia nie było, w której panował chłód, niegdyś musiała umieć uśmiechać się zalotnie. Dziś już tej stawki do gry nie potrzebowała; udawała królowę i inni jej zalecać się i dworować musieli.

Trzy panie były jakby dobranemi trzema typami niewieściemi tak, aby oko spoczywające na nich nic już do pożądania nie miało.

Była to cudna wiązanka, której każda barwa drugiej obok do podniesienia jej potęgi i blasku służyła.

Pani Józefowa Wielhorska, (Dembińska z domu) była najwybitniejszą między trzema, niemal włoska piękność z pałającemi oczyma czarnemi, z bujnym włosem kruczym, z płcią świeżą i delikatną, owalem twarzy rafaelowskim — miała więcej coś niż pospolite włoskie piękności, których zmysłowy wdzięk każe zapomnieć o wszystkiem, czego im braknie. W czarnych jej oczach płonęła iskra intelligencyi żywej, dowcip ostry, pojęcie szybkie. Posąg ten cudny miał w sobie ducha, który promieniał przez wpół przezroczystą jego powłokę. Piękność jej była majestatyczna, uderzająca, ale zarazem budziła obawę siłą jaką zdradzała.

Choć naówczas sentymentalność była w modzie, pani Wielhorska wcale się nie siliła na nadanie sobie tej cechy; śmiały się ślicznie jej usta różowe, iskrzyły oczy, cała twarzyczka jaśniała życia weselem i do życia ochotą.

Widać z niej było, że wolała na nie spoglądać ze strony jasnej niż tragicznej, i wyśmiewać się z niego raczej niż płakać. Nawet spojrzenie na przyjaciołkę można było posądzać o odrobinę

9*

politowania i szyderstwa. W towarzystwach lękano się pani Józefowej, chociaż złośliwą nie była, ale Bóg ją stworzył tak, że widziała zawsze naprzód słabe strony, chwytała ułomności i nie mogła się z nich nie uśmiechnąć.

Obok niej siedząca pani Stasiowa Potocka, Sołłohubówna z domu, jak tamta za rzymiankę, uchodzić mogła za grecką Kameę, tak cała jej postać od stóp do głowy była regularnie, klasycznie, nieposzlakowanie piękną.

Miała też chłód i powagę greckiego posągu, który zbytniego uczucia i namiętności się strzeże, aby ból lub śmiech nie nadwerężył spokojnej harmonii linij jego, nieśmiertelnie pięknych w swej prostocie.

Piękność to była mniej przemawiająca, a jednak sympatyczniejsza, bardziej niewieścia, skupiona w sobie, nie wybiegająca okiem i duszą poza szranki rodziny i kółka, w którym żyła.

Uśmiech był wdzięczny, ruchy naturalnie i niewymuszenie dystyngwowane; słowem była to piękność bez skazy, choć — tego ducha rozbudzonego, jakim oczy Wielhorskiej promieniały, nie miała w sobie. Rzekłbyś, że mieć go mogła a nie chciała, że jej dosyć było być tak sobie naturalnie, poprostu, tylko jak anioł śliczną. Mogłoż najdowcipniejsze słowo wymowniejszem być nad jej uśmiech i spojrzenie?

Obok tych dwu bogiń trzecia, choć wiekiem

im rówieśnica, wydawała się niby dzieweczką, niby w sukienkę przybranym incognito, dorosłym amorkiem.

Była maleńka, biała, pulchna, złotowłosa, ze ślicznemi oczyma niebieskiemi, podobna do kwiatka, do cukierka, do czegoś milutkiego, słodkiego, łagodnego, smutnego... Wdziękowi tej twarzyczki trochę nadąsanej, której równie łatwo było o śmiech jak o łzy — mało kto się mógł oprzeć. Typ ten blondynki na pozór powietrznej, słabej, wiotkiej, z mgły i promieni księżyca ulepionej, zamykał w sobie najfantastyczniejszą istotę do kochania stworzoną, potrzebującą kochania jak powietrza, żyjącą tylko *miłostkami*, jak kanarki cukrem. Tego co się — *miłością* nazywa, nie znał wcale wiek XVIII.

Piękna pani Cichocka, była skazaną na szukanie prawdziwego uczucia nadaremnie. Urocza to była istota, którą szczególną opieką i przyjaźnią najczulszą zaszczycała pani de Vauban. Niemogąc się nawet obejść bez niej na chwilę, gościnność jej ofiarowała pod Blachą.

Z liczniejszego codziennego towarzystwa tylko trzy te piękne panie same pozostały i reszta gości powszednich zajęta była przygotowaniami do jutrzejszego teatru, w którym uczestniczyć miała.

Książe Józef także się jeszcze nie ukazał w salonie, a zapytany o niego kamerdyner oświadczył pocichu, dyskretnie, że miał poufałych gości u siebie.

Rozmowa płynęła swobodnie o sprawach po-

spolitych, jedynych jakie świat ówczesny zajmowały. Mówiono kto się w kim i jak kochał, kto kochać przestawał, kto miał zacząć, kto z kim się mógł ożenić albo rozwieść.

Właśnie piękna owa blondynka pani Cichocka, czekała na rozwiązanie swych ślubów w nadziei zawarcia nowych, do których serce jéj wzdychało. Mówiono po cichu o dawniejszych zabiegach Kalinowskiego około Protównéj Potockiéj, o wychowanicy Stanisława Małachowskiego księżniczce Radziwiłłównie, którą dziwacznie a rozmaicie swatano, o blizkiém ożenieniu Nakwaskiego i t. p. Z trochę złośliwości odzywano się o domach, które w związku z Blachą nie były i nie hołdowały pani de Vauban, wyśmiewano je ze staroświeckich szorstkości, kontuszów, mowy i obyczaju. Wszystko to płynęło lekko, dowcipnie, potrącając niby skrzydłami motyla o ludzi, wypadki i serca.

Pani Wielhorska opowiadała coś pani Stasiowéj po cichu, śmiały się we dwie zbyt uszczęśliwione, by ich wesołość roztrzpiotana nie ściągnęła nareście uwagi zadumanej głęboko gospodyni domu.

Kilka razy wybuchy trochę głośniejsze wywołały drgnienie i przestrach z podrażnionych nerwów francuzki. Stanęła u stolika, popatrzyła długo, znacząco na panią Wielhorskę i zapytała w końcu cicho, głosem omdlałym

— Przypuścież mnie, proszę, do téj wesołéj tajemnicy, która was tak szczęśliwemi czyni.

Trochę leniwo podniosła ku niéj oczy pani Stasiowa, nie spiesząc z odpowiedzią, jakby pewną była że ją Wielhorska wyręczy.

Ta główką potrząsała.

— Tajemnica ta właśnie dla was powinna nią pozostać. I znacząco palec położyła na ustach.

— *Vous m'agaçez!* — głosem słabym odezwała się krzywiąc usteczka nie różowe królowa. — Mówcież proszę, co to być może?

— Kiedy wam mówię że to dla waszego spokoju tajemnicą pozostać powinno! — powtórzyła wolno hrabina Józefa z przybraną powagą.

— *Bon!* I dlatego właśnie zapewne oznajmujecie mi że straszliwa jakaś tajemnica, jak miecz Damoklesa, ma być zawieszona nad moją nieszczęśliwą głową? Jakto trafnie! — odezwała się Vauban. — Jakto uspakajająco dla mnie.

Nieruszając się z miejsca czekała gospodyni aby jéj rozkaz został spełniony.

— No, zmiłujże się hrabino, — po chwili oczekiwania dodała — wyjaw mi nareście co to jest? Coś tak grożnego dla mnie!

Uśmiechnęła się szydersko, jakby w żadną groźbę uwierzyć jéj nie było podobna.

— Grożnego!! nie! odpowiedziała Wielhorska — ale pocóż macie wiedzieć o wszystkiém, co jak chmurka po niebie przechodzi i znika?

Zasłaniamy ci światło aby nie raziło twych oczu, *à plus forte raison,* trzeba twym słabym nerwom i czułemu sercu innych wrażeń oszczędzić.

— Ale doprawdy, droga hrabino, zaczynasz mnie niepokoić i trwożyć! Cóżto być może? — Mów, proszę bardzo — dodała Vauban.

Pani Stasiowa podniosła ku niéj oczy, lecz zdawszy na sąsiadkę całą sprawę, nie odezwała się sama.

Z szyderskiéj minki pani Wielhorskiéj domyśleć się było można, iż tak bardzo groźnego nic zajść nie musiało.

— *Eh bien* — pieczesz mnie na wolnym ogniu! *ma chèrie*, szepleniącym głosikiem pokaszlując — odezwała się Vauban znowu! — *De grace!*

— Więc mówię, rozśmiała się hrabina. Książę nasz jest znowu mocno zajęty, tak jak to on zwykł bywać, gdy coś zupełnie świeżego, nieznanego zobaczy, gdy twarzyczka nowa uderzy go jak jakieś nadzwyczajne zjawisko!

Il lui faut du nouveau, n'en fut il plus au monde!

Vauban skrzywiła usta i ruszyła obojętnie ramionami, nieokazując najmniejszego wzruszenia.

— Tylko tyle?? — spytała — A więc, trzeba mu z blizka pokazać tę czarującą twarzyczkę, to najlepszy rozczarowania go sposób... Mówcież? kto jest ta czarodziejka nieznana?

— Nikt z nas jéj niewidział jeszcze — ale —

W téj chwili jakby na zawołanie uchyliły się

drzwi ostrożnie i na paluszkach idący ukazał się szambelan Pokutyński wyświeżony, wyelegantowany, odmłodzony. Skłonił się niezmiernie nizko gospodyni, potém damom, i gotował się powiedzieć coś wysmażenie grzecznego na powitanie, gdy hrabina podniosła się z kanapy, i dramatycznym ruchem wskazując palcem przybywającego gościa, — odezwała się (zawsze naturalnie po francuzku).

— Ten ją widział!!

— Ja? kogo? — spytał cofając się niby przelękły a trochę zdumiony Pokutyński.

— Tę piękną pannę o któréj dziś głoszą, że nas wszystkie ma zaćmić i wykierować na Kopciuszki, odparła pani Wielhorska.

— Kogo? kto? co? — powtarzał coraz bardziéj zakłopotany szambelan — Nie mam daru wieszczego, nie potrafię odgadnąć.

— Kogo! *voila!* Właśnie to najtrudniejsze, aby nazwisko jakieś szlacheckie raz słyszane, przypomnieć czy odgadnąć! śmiejąc się rzekła hrabina. — Uderz się pan w piersi, — szukaj w sumieniu grzechu i wyznaj go ze skruchą.

— Przepraszam, nic nierozumiem, o czém, o kim mowa?

— O ślicznéj, uroczéj, olśniewającéj, cudnéj dziewicy, którą ojciec z za kordonu tu przywiózł na karnawał, którą wczoraj zaraz książę Pepi zobaczył w oknie, i tak go jedném zwycięzkiém

podbiła wejrzeniem, że natychmiast bukiet jéj posłał.

Vauban melancholicznie dwa razy głową poruszyła.

— A! teraz jestem w domu! — odezwał się Pokutyński. — Mowa być musi o córce mojego kolegi szambelana Stanisława Kostki na Burzymowie Burzymowskiego, kawalera orderu św. Stanisława — i —

Pani Vauban zwróciła się ku niemu z rączkami niedbale założonemi jedna na drugą.

— A! opisz że mi pan tę piękność! — szepnęła.

Pokutyński głowę skłaniając ręką, zatoczył do koła.

— W obliczu tych gwiazd porywać się na opis skromnego wiejskiego kwiatka! — zawołał wdzięcząc się.

— Szambelanie, pan wiesz że tu u nas w tym salonie najpierwszą cnotą jest posłuszeństwo! — rzekła hrabina z przybraną powagą.

— Panna Sylwia Burzymowska, począł Pokutyński.

— A! imię ma Sylwii! ładne imię! — cicho szepnęła jedna z pań.

— Pannę Sylwię dwa razy tylko w życiu mojém miałem szczęście z daleka oglądać; naprawdę zaś raz chyba, bo tego że ją przez okno patrzącą widziałem chwilkę — nie liczę.

— Ale opiszże nam ją! domagała się Vauban.

— Lat, niewiem, wątpię żeby miała dwadzieścia, wygląda na osiemnaście, wzrost dosyć słuszny, oczy czarne, włosy ciemne i bujne, usta małe, nóżka zgrabna. — Oto wszystko, — rzekł Pokutyński, licząc jak z rejestru.

— Wiesz szambelanie, że opis doskonały do pasportu — wtrąciła Wielhorska — dla nas niewystarczający. Niemasz najmniejszego talentu do portretów! Rysopis ten mógłby doskonale służyć dla mnie i dla tysiąca innych, ale po nim tyle wiemy co — wprzódy.

— Ja zaś tém służę co mam, i więcéj ofiarować niemogę, — odparł kłaniając się szambelan. — Dodam, młodziutka, nad wiek rezolutna i śmiała.

— Majorowa ją bardzo chwali — dorzuciła Cichocka. — Zdaje mi się, że się o niéj wyraziła — *que c'est l'etoffe d'une grande beautè.*

— A! przerwała hrabina z wymówką się zwracając do szambelana, widzisz pan jak my kobiety wielką mamy wyższość nad wami. Pan ją tak samo widziałeś jak majorowa, i pan dajesz rysopis suchy, a ona w kilku słowach doskonałą charakterystykę.

— Pani hrabino, spiesznie odstrzelił Pokutyński. — Płci pięknéj wyższość nad naszą nigdy nie podawałem w wątpliwość, a z majorową na żadną w świecie broń nie ośmieliłbym się do

walki wystąpić, pewien że ona musiałaby zawsze zwyciężyć!

Ostatnie wyrazy trochę złośliwą kryły w sobie alluzyę.

— Więc to jeszcze — dziecko? — zapytała Vauban.

— Niemająca lat dwudziestu — odpowiedział Pokutyński, — dziecko ale bardzo rozwinięte, — i wątpię żeby się już lalką nieżywą bawić chciało, a żywy co się w jéj ładne łapki dostanie — no! będzie się miało z pyszna. Za to mogę zaręczyć!

— *Dites-donc!* gdzież to te cudo będziemy mieli szczęście oglądać? — zapytała pani domu.

— Najprędzéj, sądzę że jutro w teatrze — odezwał się Pokutyński. Jakkolwiek poczciwy, bojaźliwy ojciec obawia się ją puszczać w świat wielki, ku któremu panna największą ciekawością pała; choćby on ją rad od wszystkich oczu zakryć i osłonić, sądzę że piękna panna zrobi co zechce...

— Ojciec zawojowany? — pytająco rzuciła hrabina..

— Dobry, miękki człowiek, a córka jedynaczka! — mówił Pokutyński — zresztą któż z nas nie jest, nie był, nie będzie zawojowanym przez panie?

— Tośmy słyszały już! — szepnęła Wielhorska. — *Connu!*

— Ale cóż to są za Burzymowscy? — odezwała się Potocka. Zdaje mi się żem słyszała o jakiéjś — szambelanowéj tego czy podobnego imienia, która swojego czasu miała wielki rozgłos na świecie, uchodziła za piękną, za dowcipną — i —

Spuściła oczy nie kończąc.

— To była właśnie rodzona matka naszéj heroiny — potwierdził Pokutyński i dodał poczekawszy trochę.

— Czyż — książę mógł ją już widzieć? gdzie? jak? Zdaje mi się że już o tém słyszałem, ale sądzę że to niepodobieństwo.

— Siedziała w oknie, w którém i pan ją widziałeś przecie — Twarzyczką z za szyby miała się bardzo podobać..

Szambelan ruszył ramionami.

— Czy księcia dziś nie będziemy widzieli? — zapytał oczy podnosząc ku pani Vauban.

— Niewiem! Ma pono jakiegoś tajemniczego gościa u siebie — obojętnie doń odparła gospodyni.

Uśmiech jéj wymuszony dowodził, że to co dla drugich było tajemnicą, dla niéj być nie mogło. Pokutyńskiemu nie wypadało nalegać.

Rozmowa wprędce zwróciła się ku jutrzejszemu teatrowi i ploteczkom codziennym.

Gdy się to działo w przyćmionym salonie pani de Vauban, w pokoju sypialnym księcia Jó-

zefa — dwie osoby siedziały na cichéj, poufałéj rozmowie.

Sypialnia to była wcale zniewieściałości nie dająca się domyślać, prawdziwie żołnierska i obozowa. Synowca królewskiego niktby w niéj nie odgadł.

Urządzenie jéj było nadzwyczaj proste, skromne i prawie zaniedbane. Niemogło ono być dziełem wypadku, tkwiła w téj surowości myśl jakaś. Tam gdzie księcia widywano, był wytwornym i dbałym o elegancyę, tu gdzie sobą był, gdzie oprócz zaufanych przyjaciół, nikt nie wchodził, — pozostał żołnierzem wyczekującym hasła i stojącym na czatach... Dosyć obszerny pokój, miał stół w pośrodku suknem okryty, jednę sofę przy ścianie dobrze wyszarzaną, proste łóżko żelazne burką historyczną okryte, kilka krzeseł wysiedzianych, a na ścianie parę rysunków wyobrażających bitwy i konie, trochę broni zawieszonéj na kołkach bez żadnego starania o wdzięk i ozdobę.

Uderzała ta prostota umyślna, będąca w sprzeczności z życiem pańskiém, z obyczajami gdzieindziéj arystokratycznemi. Bohater z pod Sabaczu, był tu zawsze tylko żołnierzem, zapominającym, że miał nieszczęśliwego stryja królem.

Takich sprzeczności w życiu pięknego Pepi było mnóstwo. Nie był to jeden z tych ludzi co się na pierwszy rzut oka poznać dają; kilku odmiennych na przemiany pokazywało się w księ-

ciu Józefie i czyniły go nie do pojęcia coraz innym. W tych latach był on może odpoczywającym i znużonym bezczynnością dawnym wodzem, trudniejszym do zrozumienia i wytłumaczenia, niż kiedykolwiek.

Wszystko zdawało się dla niego obojętnem, przyjmował chłodno co go spotykało, nie dawał się niczem poruszyć bardzo. Miłostki, zabawy, konie, towarzystwo łatwe a miłe, zdawały się go pochłaniać zupełnie.

Żołnierz, dowódzca, obywatel kraju, (za którym tak zatęsknił, iż z Wiednia, w którym mógł być jak w domu, pod pruskie panowanie powrócił) znikał w nim teraz jakby umyślnie zatarty jakimś nowym typem człowieka wyżytego na pozór, niemającego już innego celu na świecie nad wygodne przejście pozostałego drogi kawałka.

Ale kto znał bliżej księcia Pepi, począwszy od jego ukazania się młodziutkim chłopakiem w czasie kaniowskiej podróży, potem żołnierzem walecznym pod Sabaczem walczącym z Turkami, potem wodzem rozhulanej tężyzny, co razem z nim poszła do wojska, którego on został wodzem naczelnym — bohaterem tysiąca narzucających mu się przygód miłosnych; — podkomendnym uległym jednego ze swych podwładnych (Kościuszki) — ten zwątpiłby może o rzeczywistości teraźniejszej metamorfozy i szukał jej znaczenia w jakichś rachubach na przyszłość.

Kto wie co mogła kryć ta obojętność przesadzona, to afiszowanie lekkomyślności, wyżycia, apatyi?

Trzydziestokilkoletni książe Józef nie był już zgrabniutkim chłopakiem cudnej piękności rysów i postawy, któremu przyklaskiwano z zapałem, gdy czasu sejmu czteroletniego puszczał się w tany z prześliczną Julią Potocką. Rysy twarzy jego nosiły już na sobie ślady życia gorączkowego, włosy na głowie przerzedły mu znacznie, nabrał trochę ciała, ale lata nie odjęły mu jeszcze były całkiem młodości serca i ducha. Wejrzenie czasem strzelało z oczów jak błyskawica, słowo wybiegało z ust dowcipne, ostre lub serdeczne, a po chwili wracała, jakby przywdziana suknia, owa dawna apatya i płochość, z którą się chciał i lubiał popisywać przed światem.

Otoczony ludźmil ekkiemi, przybierając ich ton, zupełnie z niemi stojąc na równi, czasem się wydawał zrezygnowanym człowiekiem, który cierpi i czeka, który poprostu mówiąc — przyczaja się.

W sypialni księcia dwu ich tylko siedziało. Drugim był, równego mu mniej więcej wieku, przystojny jeszcze, ale daleko mocniej niż książe wiekiem zjedzony mężczyzna lat trzydziestukilku, wyglądający na czterdzieści z okładem, arystokratycznych, cudzoziemskich rysów twarzy. Leżał on wygodnie na sofie i trzymając długi cybuch turecki w ustach, bawił się nim niepaląc z niego.

Książe stał przy nim patrząc nań z wyrazem czułości. Z twarzy widać było, że zapomniawszy o wszelkich względach zwykle go do grania jakiejś roli zmuszających, przed tym przyjacielem, chciał być samym sobą.

W obejściu się ich poznać było można najserdeczniejszych druhów, rozmowa płynęła tak ożywiona, poufna, serdeczna, jakby oba na nią długo z upragnieniem czekali.

Był to młody książe Ludwik de Ligne, niegdyś towarzysz broni, przyjaciel młodości, jedyny człowiek, dla którego książe nie miał tajemnic. Dwie te twarze zarówno arystokratyczne, równie piękne, jednoletnie, nastręczały się do porównania. Wyszłoby ono na korzyść Pepi. Syn najdowcipniejszego z ludzi XVIII w. nie miał wielkich i świetnych ojca przymiotów, twarz jego nie mówiła nic oprócz że żył wiele, gorączkowo, cierpiał i w końcu przestał już dbać bardzo o to, co go czekać mogło.

Na twarzy gospodarza było coś więcej jeszcze, — była jakby obietnica, że z pod popiołów iskra może wytrysnąć, że ten umarły dziś, potrafi bohaterem zmartwychwstać.

Ks. Ludwik de Ligne był tem co francuzi zowią, *un homme fini* — on sam już się takim uznawał. Najsmutniejsza to rola w świecie, bo wśród ludzi niepotrzebna nikomu, a ciężka dla tego co ją nosi.

— Słuchaj, Pepi — szeptał niedbale na ka-

napie leżący książe, który do Warszawy przybył *incognito* i parę dni tylko na osobności miał z dawnym spędzić przyjacielęm. — A! ty! ty jeszcze jesteś nieskończenie młodszym odemnie! Jesteśmy prawie rówieśnikami, zdaje mi się, że życie prowadziliśmy prawie jedno, w tobie zostały na przyszłość zapasy, a ja — jestem wyczerpany zupełnie! Do kropli! — dodał wzdychając książe Ludwik.

— Tego sobie nigdy mówić nie trzeba! — odparł Pepi cicho...

— A cóżto pomoże?

— Powinno się do ostatka sił próbować — niespodziane się znaleść mogą!

— Niestety! Im więcejbym się wysilał na siłę, tembym mniej znalazł jej w sobie — rzekł de Ligne. — Nie! ty, ty jesteś istotą uprzywilejowaną, stokroć szczęśliwszą odemnie!

We wszystkiem! — dorzucił po chwili.

— Naprzykład? — zapytał Pepi.

— A, naprzód już, żeś miał rozum nigdy się nie żenić! Znasz moje losy — ciągnął książe — pamiętasz ożenienie. Umyślnie sobie wybrałem kobietę nie piękną, aby jej wierności dla mnie być pewniejszym. Brak wdzięków nie uchował mnie od nieuchronnego losu wszystkich mężów [1]. Toby

---

[1]) Własne wyrazy z listu księcia de Ligne do księcia Józefa, który mieliśmy w ręku. Żonaty był z księżniczką Massalską. *P. A.*

mnie zresztą nie obchodziło tak bardzo, ale uwolnić się od żony nierównie mi trudniej przyszło niż się ożenić. Zjadły mnie kłopoty, gniewy...

Książe Józef się uśmiechał.

— *Tempi passati!* — rzekł. — Nie trzeba już starych blizn rozdrapywać. Tyle jest ślicznych kobiet na świecie, które ci za twoją brzydką i niewierną zapłacą.

— Mustarda po obiedzie! — rozśmiał się smutnie książe Ludwik — nie mają już dla mnie kobiety najmniejszego uroku.

— A! to niepodobna — przerwał wesoło książe Józef. — Kobieta może w końcu znużyć, ale kobiety nigdy. Ja kocham się całe życie i to mnie na świecie trzyma. — Gdy nie będę mógł zająć się żadną, choćby na dwa dni — każę się pochować!

— Jesteś niepoprawny — odezwał się de Ligne — nienasycony. Zdaje mi się, żeś już powinien był wszystkie niewieście typy wyczerpać, wszystkie rodzaje piękności przekochać, że dla ciebie nic nowego nie powinno być na świecie.

— A! *Louis!* Co pleciesz! każda kobieta jest zagadką nową! — przerwał Pepi. — Czy może być co ciekawszego nad te Sfinxy?

— Które — nieodgadnięte pożerają — dodał de Ligne.

— Tych co się im zjeść dają! — odparł Pepi.

— Nie — *cher Pepi* — zawołał gość — ty się bałamucisz! Tyś znudzony więc się rozrywasz! ale kochać się ty nie możesz...

— *Pardieu!* więcej ci powiem, gotowem się kochać platonicznie — zawołał książe — nie dalej jak wczoraj, zakochałem się jak student i to od pierwszego wejrzenia!

Książe de Ligne odwrócił się na bok, położył i serdecznie śmiać się zaczął, cybuch wypadł mu z rąk i potoczył się na ziemię, ramiona mu się trzęsły. Wesołości szyderskiej nie było końca.

— Cóż na taką eskapadę do platońskich sfer — powiedzą pewne osoby, które sobie roszczą pewne prawa? — spytał de Ligne.

— Powiedzą — co zechcą — to mi zupełnie jedno! — rzekł Pepi — Nigdy nie zważałem na to, ile gderania i wyrzutów ma mnie satysfakcya zakochania kosztować!

Kocham się, a gdy się tęgo i szczerze zakocham — wiesz, uczucie ma tę siłę tajemniczą, iż wywołuje wzajemność, gdy jest prawdziwem. Jestem przekonany tak o tem, jak — iż gdy ja kochać przestaję, muszę przestać być kochanym.

— Co za cudownie wygodna teorya! — wołał de Ligne.

— Ja ją sądzę prawdziwą, najprawdziwszą — ciągnął dalej książe Józef. — Kobiety płaczą i upierają się choć nie kochają, chcąc być jeszcze kochane, ale to sprawa ich miłości własnej.

— Dałbyś pokój teoryom — przerwał de Ligne — powiedz mi co lepiej o nowem bóstwie, które cię w sfery platońskie zagnało! *Pepi platonique!* — I śmiał się.

— Czekaj, nie mogę nic powiedzieć, bo go nie znam — śmiejąc się odparł Pepi. — Ledwie z trudnością dopytałem się nazwiska, barbarzyńsko brzmiącego, ale ona — wydała mi się — zachwycającą. Lilia kiedy się jej pączek ku słońcu otwiera...

— *Sapristi*! Co za poezya! a nazwisko barbarzyńskie! Masz widzę pasyę teraz do wieśniaczych spódniczek, czerwonych rąk i naiwności głupkowatych.

— Mylisz się na ten raz, *c'est pas ça*. Mówią, że to jest osóbka bardzo przyzwoita — rzekł książę. — Na nieszczęście! młodziuchne to prawie dziecko, a ja mam respekt dla młodości i niewinności...

— Cha! cha! cha! Jakby dla ciebie było co świętego! — odparł de Ligne — ty rabusiu serc...

— Przepraszam cię, — gorzej czy lepiej sobie mnie wyobrażasz, niż jestem. Ludzie mnie okrzyczeli... W naszym arystokratycznym świecie wolno wiele, w poczciwych szlacheckich sferach, gdzie wszystko biorą na seryo, należy poszanować wiarę w człowieka i w uczucie.

Książe zrobił minę poważną; leżący na kanapie spoglądał nań szydersko.

— *Est modus in rebus!* — dodał. — Pepi wyda swój ideał za jednego z licznych przyjaciół — — rzecz będzie skończona!

— Ty, Ludwiku, jak widzę, daleko jesteś w tych sprawach zepsutszym odemnie — odezwał się książę — ja, przyznaję ci się, o niczémbym podobnym nie pomyślał. — To dowód że ja jeszcze kochać mogę, miłością najczystszą, idealną, gdy ty już zszedłeś na rozpustnika.

— Jak wszyscy starzy! jak wszystko stare, zepsułem się — odparł de Ligne smutnie. Wszakżeśmy od tego zaczęli rozmowę, żem ja się obwiniał o zestarzenie, a ciebie o nie posądzał. Teraz zaś tylko zazdroszczę młodości.

Książę się zamyślił trochę.

— A! tak — odezwał się melancholicznie, każda miłość nowa młodość nam daje nową, wraca jéj uczucia! A tak to dobrze być choć trochę młodym, choć na krótko...

Urwała się rozmowa, de Ligne poziewał.

— Powiedz że mi — mruknął po namyśle — dlaczego wybrałeś sobie Warszawę na miejsce pobytu, w Wiedniu by ci było weseléj?

Książę uśmiechnął się.

— To może trudno mi ci będzie wytłumaczyć, — rzekł, — mam jakieś przeczucie i wiarę, że tu będę kiedyś, — na coś potrzebny... Czekam...

— Na co? — zapytał de Ligne.

— Niewiem sam, na spełnienie moich przeznaczeń, — rzekł książę Józef. — Mam tę pewność w duszy mojéj, że jeszcze schwycę za szablę co wisi na ścianie, w dzieję tę burkę i pójdę z mojemi gdzieś walczyć, a może zginąć, że nie zgniję tu marnie pod czułą opieką poczciwego Koehlera..

— Marzenia polskie! — zaśmiał się de Ligne, — dziecińsiwa! — Prusy są silne, panowanie ich tu ustalone, miałżebyś ochotę wejść w ich służbę?

— Nigdy w świecie! — gwałtownie zawołał książę — nigdy! — Niech to sobie będą marzenia, — zostaw mnie z niémi. Nie mówmy o tém.

— Owszem ja chcę o tém mówić z tobą, aby cię z tych mrzonek obudzić, — odezwał się de Ligne.

— Kiedy mi z niemi dobrze! — przerwał książę.

— Ale niepodobna abyś się z niemi nie zdradził — przerwał de Ligne, prusacy są podejrzliwi. Wyczytawszy w twéj duszy czego pragniesz, a co dla nich miłém być nie może, wyrugują cię ztąd. Jeśli ci tu dobrze, używaj reszty życia, nie myśl o niczém więcéj.

— Naówczas i żyćby już nie warto — odezwał się Pepi. Z tobą ja mówię poufnie z duszy w duszę mój Ludwiku, zresztą któżby się z życia domyślił że ja codzień na tę szablę patrzę, że mi drży ręka, serce do niéj bije i łzy się

kręcą. Przypatrz się życiu memu, to doskonały parawan na zasłonięcie tych marzeń, których nikt niema ani najmniejszego pojęcia. Widzą mnie zajętego kobietami, końmi, swawolnego, pustego, otoczonego ludźmi dobranymi umyślnie tak, aby dwór mówił za pana; jakże chcesz by mnie o coś posądzać mogli?

Tego ja chcę — zamydlam im oczy, ściskam ich, kłaniam się, jesteśmy z nimi w najpiękniejszéj zgodzie — a — słuchaj! — dodał silnie książę, słowo ci daję na to że tą szablą tłuc ich będę!

De Ligne ruszył ramionami.

— Dużo w tobie Polaka zostało! — rzekł. — Sądziłem że jesteś wyleczony i z polonizmu i z heroizmu, żeś sobie wyperswadował sławę bohaterów.

— Nie! zaprawdę, nie! — wykrzyknął książę. — Wiele rzeczy mi się w życiu wyśniło i z przepowiedni sprawdziło, jestem pewny że mi Pan Bóg da nie inaczéj ginąć jak z żelazem w ręku i po żołniersku.

Towarzysz podniósł się nieco, patrzał na mówiącego i śmiał się.

— Z marzeniami mając do czynienia, — rzekł: abdykuję; nie mogę się bić z widmami. Przyznam ci się jednak, iż rzeczywiście za tak młodego i poetycznego cię nie miałem, ani za takiego dyplomatę. *Que diable* zdaje ci się że po-

tomków wielkiego Fryderyka w pole potrafisz wyprowadzić i że oni ci się oszukać dadzą.

Książę wąsa pokręcił.

— Nie oszukuję ich — odparł, — jestem spokojny i trzpioczę się. Tłumię w sobie uczucia, z któremiby popisywać się nie w czas było. — Zdziwią się trochę, gdy Sybaryta siądzie na koń.

Skończył uśmiechem.

— O tyle o ile tu widziałem i słyszałem co się koło ciebie dzieje, kochany Pepi, — dodał de Ligne, — muszę przyznać, że komedyę z prusakami grasz wcale nie źle, ale czy do końca swą rolę utrzymasz?

— *Coute que coute!* — przerwał książe.

Zapukano leciuchno do drzwi, książe Józef zwrócił się ku nim z miną nadąsaną, popatrzył na towarzysza i szybkim krokiem do drzwi pospieszył z widocznym zamiarem pozbycia się natręta.

Stało się jednak inaczéj niż chciał. Pukającym był szambelan Pokutyński. Książe wiedział już o jego bliższéj znajomości z ojcem pięknéj twarzyczki i potrzebował z nim mówić. Zobaczywszy go u progu zwrócił się do przyjaciela i zapytał.

— Pozwolisz?

— Proszę cię, niech ja nie przeszkadzam w niczém.

Wprowadzony Pokutyński wszedł ciekawe

wejrzenie rzucając na sofę, z której książe de Ligne powstawszy całkiem, milczący ukłon oddał mu zdaleka.

— Mój dobry przyjaciel, szambelan dawny stryja mego, Pokutyński, — odezwał się książe prezentując. Wprowadzonemu zaś dodał cicho.

— Najlepszy mój przyjaciel młodości, ale — w surowém *incognito*. Dlatego ci nawet nie mówię nazwiska, odgadniesz je sobie.

Pokutyński uśmiechnął się tylko, odgadnąć mu to *incognito* było bardzo łatwo.

Pepi poufale położył mu rękę na ramieniu.

— Kochany przyjacielu, poratuj mnie! Córka twojego przyjaciela i kolegi, *et les amis des nos amis, sont nos amis*, zawróciła mi glowę swoją pięknością. Zapomniałem, jakże się ten kolega zowie? Borzykowski?

— Nazywano go dawniéj na dworze J. kr. Mości *Je Burzymowski*, — rzekł złośliwy Pokutyński.

— Jak? jak? dlaczego?

— Niegdyś zapukał był do gabinetu króla, który zawołał: *Qui est là?* na co on swoją domorosłą francuzczyzną odpowiedział: *Je, chambelan Burzymowski.*

Książe de Ligne ze śmiechu położył się na kanapie, książe Józef namarszczył nieco.

— A! rozumiem, — rzekł, — ojciec więc jest

śmieszny polonus stary, miałażby córka być w podobnym rodzaju?..

— O! wcale nie! — prędko podchwycił Pokutyński, — córka nic a nic do niego niepodobna. Cudnie piękna, co już W. ks. Mość sprawdziłeś naocznie, bardzo śmiała i dowcipna. Wychowanie staranne, wsi na niéj nie znać.

— Przepraszam cię, — przerwał książe Józef, — właśnie tém jest wieśniaczką, że ma odwagę być sobą, któréj nasze panie nie mają. Wszystkie są jak w jednéj formie ulane i do siebie podobne. Nie prawdaż szambelanie, nie uważałeś tego? Gdy są cokolwiek samoistniejsze, wówczas naiwne chorują na rozum, a rozumne udają naiwność, — prawdziwe nieszczęście, choć doskonałe aktorki. Wiekuiście się ma do czynienia z falsyfikatami.

— Książe jest bardzo surowym, — odparł Pokutyński, stojący zawsze jako Paladyn w obronie płci pięknéj.

— A! nie! — przerwał de Ligne, — ma zupełną słuszność. Na całym wielkim świecie to samo. Piszę się na jego zdanie.

— Ale, mój Pokutynsiu, już się nie kłóćmy,— przerwał Pepi, — mów mi o téj ślicznéj szambelanównie. Imię jéj! nie wiesz imienia?

— Owszem! Sylwia!

— *Saperlotte!* — rozśmiał się de Ligne, imię jakby z romansu czy z poematu!

— A mnie się ono właśnie niebardzo podoba,— odparł Pepi.— Wolałbym prościejsze a mniéj wymuszone. Kto jéj nadał takie imię, chyba nie szambelan?

— Domyślam się, że to było sprawą matki, którą książe zapewne przypominać sobie musisz, rzekł Pokutyński, — była wcale piękna, wesoła i hołdów chciwa.

— Nie... nie przypominam jéj sobie, — odparł zamyślony książe. — Wracając do panny Sylwii, nie wiesz, będzie jutro w teatrze?

— Postaramy się o to, — rzekł Pokutyński.— Wiem że panna sobie życzy tego gorąco, i jéj *chaperon*, niejaka pani wojska Czeżewska, także mocno tego pragnie, więc, choćby sam Burzymowski się sprzeciwiał, kobiety na swojém postawią.

— Cieszę się tém zawczasu, — odezwał się klepiąc po bokach szambelana. — Nie wiesz Pokutynsiu, z kim one mają znajomości?..

— Dotąd podobno żadnych, — odpowiedział z pośpiechem i usłużnością Pokutyński, — ale... łatwo się znajdą stosunki.

I zniżając głos szepnął do ucha księciu.

— Majorowa Habąkowsku jest pono w ścisłéj przyjaźni z *Chaperonem*. Majorowa dowiedziawszy się o ładnéj pannie, już tam była, wcisnęła się i objęła komendę.

Skrzywił się posłyszawszy o Habąkowskiéj książe.

— Towarzystwo nie do zazdrości dla pięknéj i naiwnéj wieśniaczki, — rzekł cicho. — Ta wyśmienita dla nas, niegdyś ładna Jutka, nadto usłużna, i niebardzo bezpieczna...

Ruszył ramionami.

— Znajomość z majorową dla starszych może być bardzo wygodną, — dodał, — dla takich prostodusznych i dobrych wieśniaków, wolałbym inną mentorkę...

Pokutyński słuchając zdawał się dziwić, ale nie powiedział nic.

— Coś tam podobno jest lepszego nad to, — dodał zwolna się wygadując szambelan. — Matka nieboszczki pani Burzymowskiéj, przyznaję się do niewiadomości, kto była z domu, ale mówią, że miała być w jakiéjś dalekiéj kolligacyi z Tyszkiewiczami.

— A! to co innego! — zawołał weseléj książe. Także mi mów. U nas w ogóle szlachta i panowie, wszyscy ze wszystkimi są jakoś skolligaceni. Bywa to niezmiernie nudném i uciążliwém, bo się ma kuzynów bez liku, ale czasem z tém wygodnie, gdy kuzynki są ładne, a tytuł do pewnéj poufałości upoważnia. Jestem bardzo ucieszony z naszéj kolligatki panny Burzymowskiéj. *Cela me va!*

Pokutyński tonem księcia poufałym i rozweselonym czuł się ośmielony i rzekł.

— Wie książe, że już dawno nie pamiętam, abym miał szczęście widzieć go tak ożywionym i — *lachons le mot* — rozpłomienionym do twarzyczki zaledwie dojrzanéj przez okienko.

— Pokutynsiu! cóż to jest — odparł Pepi wesoło, — także ty mnie znasz mało! Nie pamiętasz chyba, ile razy anioły porywały mnie z sobą w niebiosa, a śmiechy ludzkie ściągały za nogi na ziemię! Nie pierwszy to raz... i spodziewam się, nie ostatni.

— Tak! tak! zawsze ten sam kochany Pepi, wtrącił de Ligne. — Pali się co chwila płomieniem ogromnym, rzekłbyś że to pożar Troi, że w nim spłonie wszystko, tymczasem jest to ogień słomiany *(un feu de paille)* i prócz słomy nic w nim nie ginie.

— Niech sobie będzie ogień choć słomiany i krótki, — zawołał wesoło maszerując po pokoju Pepi, — zawsze to trochę grzeje... a ty jesteś już popiołem, z którego nic a nic zrobić nie można!

— Przepraszam, — odciął się książe de Ligne, — *on en fait de la lèssive*. (Robi się z niego ług do prania.)

Śmiano się z tego konceptu, przypominającego dowcipy ojca, a Pepi przyjaciela pocałował zań w głowę.

— Prawdziwy de Ligne z ciebie, — zawołał

głośno obracając się do Pokutyńskiego i zapominając o *incognito*. — *Il chasse de raçe.*

Po krótkim śmiechu Pokutyński znowu głos zabrał.

— Wie książe, — rzekł, — że w téj Warszawie nic się na chwilę w tajemnicy utrzymać nie może. To prawdziwe sito, przez które wszystko natychmiast przecieka. O wczorajszym bukiecie już doszła wiadomość nawet do salonu (wskazał palcem na drzwi). Znalazłem tam hr. Wielhorską, panią Stasiową i Cichocką, rozpowiadające całą tę historyę przed panią de Vauban.

— Bah! — rzekł książe obojętnie, — Jeśli je to bawi! A mnie cóż to szkodzi?

— Nie chciałbym, aby z ust do ust imię W. ks. Mości doszło do ojca, — rzekł Pokutyński. — Stary obawia się niezmiernie o córkę, zazdrosny jest o nią, drażliwy. Zresztą pomimo że czasem *je* zamiast *moi* używa, Burzymowski jest najpoczciwszym z ludzi, dobry, łatwo się ująć dający.

— Więc żeby się nie krzywił, a córki nie zamykał za klauzurą, — rzekł książe zbliżając się do szambelana i obejmując go za szyję, — ty, Pokutynsiu, weźmiesz go na siebie! Zrobimy tak, aby jutro z teatru pannę zabrano do nas pod Blachę, ty zaś ojca!.. no? jak ci się zdaje? co zrobimy z ojcem?

— Z ojcem? — powtórzył zadumany szambelan. — Jest bufet przy teatrze?..

— Jakżeby go nie było? — odparł książe, — bufet jest pierwszą potrzebą! Gdyby go nawet nie było, to na jutro ufundować go należy.

— Ojca my zaciągniemy do bufetu, —- ciągnął dalėj Pokutyński. — Na drodze gdyśmy się z nim spotkali na gruncie księcia, bo w Jabłonnėj, poznał się z musu z Bielińskim, Kalinowskim i kilką birbonami naszemi. W imię tėj znajomości łatwo nam go będzie wziąć na kieliszek burgunda, a wlać w niego parę butelek... Mam nadzieję, że go w ten sposób przytrzymamy.

— Złoty jesteś! nieoszacowany! — zawołał śmiejąc się książe Józef. — Plan cały wybornie osnuty, idzie tylko o to, aby nam co w drogę nie weszło i wykonania nie popsuło.

— Nie przewiduję nic, — odparł Pokutyński. Za szambelana ja ręczę, ale któż się podejmie porwać pannę i zawieźć ją pod Blachę?

— To moja rzecz, — rzekł książe. — Niepodobna aby mi która z pięknych pań nie podjęła się tėj interwencyi. Znajdzie się sposób zbliżenia się, poznania... *Enfin.*

— Majorowa wreszcie! — szepnął Pokutyński, ale na wspomnienie imienia tego książe się zmarszczył znowu.

— O! zmiłuj się! — zawołał prędko, — niech ona mi tego kwiatka nie tyka! Bardzo lubię majorową w innych — wypadkach, ale gdzie idzie

o ideały, powinna się trzymać zdaleka. Wszystkoby popsuła i sprofanowała.

Zamilkł Pokutyński.

Książe de Ligne, którego ta narada nie bardzo się bawić zdawała, ziewał coraz jawniéj a przez litość nad nim, rozmowę przerwać było potrzeba.

Dał znak Pokutyńskiemu książe, poszeptali z sobą coś pocichu i szambelan wysunął się nazad na palcach do salonu, gdzie już liczniejsze towarzystwo, powróciwszy z próby teatralnéj, żywo się zajmowało jutrzejszą reprezentacyą.

Dwaj przyjaciele znowu pozostali sami, gdyż książe de Ligne wcale się w towarzystwie pokazywać nie myślał, a Pepi chętnie mu dotrzymywał kompanii. Tyle mieli wspólnych wspomnień przeszłości, począwszy od Kaniowa, Kijowa, Sabacza, wojsk austryackich, wiedeńskiego dworu aż do wieczorów w Łazienkach i na zamku.

Późno w noc Ludwik opuścił przyjaciela, umawiając się z nim na dzień jutrzejszy.

Po odejściu jego książe przywołał kamerdynera, spojrzał na zegar, przeszedł się po swéj sypialni i namyśliwszy skierował ku małemu salonikowi pani de Vauban, przytykającemu do jéj sypialni.

Buduar ten, gabinet czy salon wreszcie, bo niewiedzieć jak nazwać go było, ogrzany był jak wszystkie apartamenta pod Blachą do niewytrzymania, i pełen jakiéjś woni silnéj, odu-

rzającéj, którą nerwy gospodyni delikatnéj i choréj cudem jakimś znosiły. Nie było w nim innego światła nad naczynie alabastrowe zwieszone od sufitu, w którém przyćmiona lampa płonęła. Miękki dywan okrywał podłogę. Dokoła sofy powleczone gobelinami biegły przy ścianach, przypominając tureckie domy, w których za siedzenie i posłanie służą razem. Para małych stoliczków, z koszykami u spodu, dwa alabastrowe naczynia w kątach, tego dnia nieoświecone, były wszystkim sprzętem tego cichego schronienia. Nad kominem, w którym się nie paliło, wielkie zwierciadło w mur wpuszczone odbijało słabe lampy światełko.

Gdy książe pocichu wszedł, pani de Vauban, w kaszmirowéj sukni długiéj, w pantofelkach, z włosami niczém nieokrytemi, których niewiele miała, stała z flakonikiem w ręku naprzeciw drzwi.

Na sofie niedaleko od nich siedział słusznego wzrostu, przystojny, w francuskim stroju dosyć eleganckim mężczyzna średnich lat, w którym łatwo francuza poznać było można. Twarz miał bladą, w oczach dosyć ognia, rysy dość pospolite, a postać cała czyniła wrażenie człowieka, który fantazyą nadrabiał czując się nie na swojém miejscu. W ręku trzymał więcéj może dla kontenansu niż potrzeby (jak mówią francuzi) złotą tabakiereczkę, którą z dłoni do dłoni przerzucał.

Na widok wchodzącego powstał natychmiast

z pewną służbistością źle pokrytą wyszukaném ugrzecznieniem. Ruszając się z miejsca razem pochwycił za leżący obok niego kapelusz, jakby się już do wyjścia zabierał — i nie chciał księciu przeszkadzać.

Pani de Vauban stała zupełnie obojętna, wpatrując się w księcia z uwagą. Ten naprzód ją skinieniem głowy grzecznie pozdrowił, potém rękę wyciągnął ku kłaniającemu się nisko mężczyznie.

— Dobry wieczór, mój drogi Vauban! — odezwał się do niego książe. — Jakże się wam próba powiodła?

— Doskonale! z takimi artystami jakich tu mamy, nie może pójść źle nigdy!

— A! powiedz przy takim doskonałym reżysserze i instytutorze jakim ty jesteś, — odparł Pepi z uśmiechem. — Artyści i artystki wszystko winni tobie, kochany Vauban.

— A ja im winienem prawdziwą przyjemność, bo nigdzie, nawet we Francyi, w najlepszych naszych domach, w których na inteligencyi nie zbywa, takich talentów nie spotykałem, — odparł Vauban z wielkim zapałem.

Począł mówić trochę głośniéj, żona mu dała znak.

— Pst! proszęż cię! zapomniałeś, że ja takiego hałasu nie znoszę.

Vauban się skłonił.

— A! przepraszam! — rzekł ciszéj, — zapomniałem się w istocie.

Pepi zwrócił się ku pani.

— Cóż, ta głowa? czy zawsze boli jeszcze? Rękę dosyć dużą przyłożyła zapytana do czoła, zrobiła minkę męczennicy i za całą odpowiedź westchnęła.

Vaubanowi widocznie pilno się wynieść było; posunął się ku żonie, która bardzo zwolna wyciągnęła mu rękę do pocałowania, skłonił się księciu, który dłoń jego ścisnął i na palcach wysunął się z buduaru.

Książe stał naprzeciw choréj pani, jakby zakłopotany, co ma począć z sobą. Ona milczała chwilkę.

— Kochany Pepi, — odezwała się głosem dosyć chrypliwym, — jaki ty jesteś w swych fan. tazyach nieostrożny. Właśniem cię przestrzedz chciała.

— Cóż tam takiego? — głosem człowieka znudzonego spytał książe.

— Znowu jakaś młoda twarzyczka, — ramionami ruszając mówiła patrząc na podłogę i usta krzywiąc przymuszonym uśmieszkiem pani Vauban. — Cała Warszawa już dziś mówi o tym bukiecie.:.

— A! — odparł książe Józef, — cóż tak wielkiego!

— Wiesz jak ja jestem wyrozumiała na to wszy

stko, — dodała zwolna na sofę padając Vauban, — nie posądzisz mnie o jakąś niedorzeczną zazdrość, ale... we własnym twoim interesie, nie godziło się nadawać temu takiego rozgłosu...

— Czyż moja wina — rzekł książe.

— A czyja? — spytała kobieta. — W biały dzień posyłać dżokeja, którego zna całe miasto...

Książe tak był znudzony temi przestrogami macierzyńskiemi swéj przyjaciółki, że po twarzy jego poznać to musiała, i zniżając głos powoli, w końcu zamilkła.

Pepi przeszedł się parę razy po budoarze.

— De Ligne długo zabawi? — zapytała.

— Sądzę, że jutro jeszcze, — rzekł książe, — *incognito* zawsze, radby być w teatrze, a po nim zapewne zaraz wyjedzie.

— Wyobraża sobie, że jest *incognito*! — cicho poczęła szeptać Vauban. — Jest to także fantazya, któréj nie rozumiem. Wszyscy o nim wiedzą, a do pobytu księcia de Ligne nikt pewnie wagi nie przywięzuje.

— Masz słuszność, — odpowiedział książe, — ale mu się nie chciało wchodzić w świat, oddawać wizyty i nudzić się już i tak straszliwie znudzonemu wszystkiém co go otacza...

— Mój Boże! — westchnęła Vauban, — co do nudów, *il faut en prendre son parti*, nikt od nich wyjęty nie jest, gdy pewnych lat dożyje!

Ponowiło się westchnienie.

Książe niegrzecznie trochę, nie ukrywając się z tém poziewał.

Spojrzeli na siebie.

— Ten poczciwy Vauban, — odezwał się książe, — męczy się dla nas teatrem. Ile razy przyjédzie tu, biorą go w rekwizycyę, żal mi go.

— Dajże pokój! — odparła Vauban, — on także się nudzi, a to go trochę rozrywa; wy zaś doprawdy lepszego byście nie znaleźli reżyssera.

— O! i artysty! jest duszą teatrów naszych! dodał książe.

— Biedny człek, — cicho szepnęła Vauban, — musi się śmiać na scenie, gdy troskę ma na głowie. Nasze położenie emigrantów...

Przewidując że się elegia nad losem wychodźców francuskich przeciągnąć może, książe Józef spojrzał na zegarek.

— Ale bo, późno! Ten ból głowy, jesteś zmęczona! Przepraszam, juz idę.

Pocałował ją w rękę.

Skinęła nań jeszcze francuzka i przybliżającemu się szepnęła coś na ucho. Vaubana imię kilka razy się powtórzyło, książe dał znak głową że się zgadza. Pilno mu było odejść równie jak jéj zatrzymać go dłużéj. Wysunął się w końcu z łaźni téj książe i korytarzami pospieszył do swojego mieszkania.

Dzień zdawał się skończony, cichość panowała w całym pałacu pod Blachą. Wróciwszy do

sypialni, gdzie nań czekał stary sługa, książe odprawił go ruchem ręki, sam siadł na sofę i zapaliwszy fajkę sparty na łokciu zadumał się, jakby przed sobą sprawę zdawał nietylko z ubiegłego dnia, ale z upłynionego życia.

Rozmowa z przyjacielem poruszyła stare wspomnienia, a może dotknęła zielonych nadziei. Zasępiony siedział tak długo patrząc na łóżko, na którém położyć się nie miał odwagi.

Wzrok jego padł na rysunek konia, który mu tam życie ocalił, gdzie od kuli padł Iliński, i łza się zakręciła w oku...

Koniec Tomu 1go.

DZIEŁA
J. I. KRASZEWSKIEGO

wydane nakładem księgarni **Gebethnera i Wolffa** w Warszawie:

	Rs.	kop.
Bracia rywale, obrazy społeczeństwa wiejskiego z XVIII wieku.	1	—
Bratanki, powieść z podania z początku XVIII wieku, 2 tomy.	2	—
Brühl, opowiadanie historyczne, wyd. 2gie, 2 tomy.	2	—
Chore dusze, powieść w dwóch tomach.	2	—
Cześnikówny, powieść z illustracyami Chełmońskiego i Pilattiego.	1	50
Herod-baba, opowiadanie dziadka.	1	20
Hołota, powieść współczesna, 2 tomy.	1	50
Hrabina Cosel, powieść historyczna, wyd. 2gie, 2 tomy.	2	—
Jak się pan Paweł żenił i jak się ożenił, powieść.	1	—
Jesienią, powieść, 2 tomy.	1	80
Kawał literata, wizerunki społeczne z końca XVIII wieku, 2 tomy w jednym.	1	50
Krasicki, życie i dzieła, kartka z dziejów literatury XVIII wieku.	2	—
Toż samo w większym formacie na papierze welinowym.	2	50
Macocha, powieść z podań XVIII wieku, 3 tomy.	2	25
Mogiły, Abracadabra, Dyaryusz podróży z Warszawy do Petersburga Hr. K. K. de Broel Platera.	—	50
Morituri, powieść w 2ch tomach.	2	25
Niebieskie migdały, powieść, 3 tomy.	3	—
Ostatnie chwile księcia wojewody (Panie Kochanku), z papierów po Glince, wyd 2gie.	—	90
Pan na czterech chłopach, historya szlachecka z XVIII wieku.	—	90
Powieści historyczne:		
I. **Stara Baśń**, powieść z IX. wieku, 3 tomy.	3	—
II. **Łubonie**, powieść z X. wieku, 2 tomy.	2	—
III. **Bracia zmartwychwstańcy**, powieść z czasów Chrobrego, 3 tomy.	3	—
IV. **Masław**, powieść z XI. wieku, 2 tomy.	2	—

	Rs.	kop.
V. **Boleszczyce**, powieść z czasów Bolesława Szczodrego, 2 tomy.	2	—
VI. **Królewscy synowie**, powieść z czasów Władysława Hermana i Krzywoustego, 4 tomy.	4	—
VII. **Historya prawdziwa o Petrku Właście** pałatynie, którego zwano Duninem, 2 tomy.	2	—
VIII. **Stach z Konar**, powieść z czasów Kazimierza Sprawiedliwego, 4 tomy.	4	—
IX. **Waligóra**, powieść z czasów Leszka Białego, 3 tomy.	3	—
X. **Syn Jazdona**, powieść z czasów Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego, 3 tomy.	3	—
XI. **Pogrobek**, powieść z czasów Przemysławowskich, 2 tomy.	2	—
XII. **Kraków za Łokietka**, powieść, 2 tomy.	2	—
Powrót do gniazda, powieść z podań XVI wieku.	1	50
Przygody pana Marka Hińczy, powieść z podań życia staroszlacheckiego.	1	20
Resurrecturi, powieść w 2ch tomach.	1	50
Roboty i prace, sceny i charaktéry współczesne.	1	20
Skrypt Fleminga, powieść historyczna z czasów Augusta IIgo, 2 tomy.	1	50
Stara baśń, powieść z IX wieku, wydanie jubileuszowe na wytwornym welinie z 24 illustracyami Andriollego, w 4ce, w ozdobnéj oprawie w płócienko ang. ze złoc. brzegami.	12	—
Starosta warszawski, obrazy historyczne z XVIII wieku, 3 tomy.	3	—
Syn marnotrawny, opowiadanie z końca XVIII wieku, 2 tomy.	2	40
W starym piecu, studyum psychograficzne.	1	20
Z siedmioletniej wojny, opowiadanie historyczne, wyd. 2gie, 2 tomy.	2	—
Żywot i sprawy IMPana Medarda z Gołczwi Pełki, z notat familijnych spisane, 3 tomy.	3	—

Do druku przygotowane:

Krzyżacy, 1410, obrazy z przeszłości, 2 tomy.
Złoto i błoto, powieść współczesna, 3 tomy.
Ramułtowie, powieść.
Raptularz Pana Mateusza Jasienickiego, z oryginału przepisany.
Wilczek i Wilczkowa, opowiadanie z końca XVIII wieku.